

Przewodnik Katolicki

ilustrowany tygodnik dla rodzin katolickich - Redaktor Zarządcał X. Józef Kłos, redaktor nac. X. Fr. Forecki



CUD WESELNY

(Objaśnienie obrazka na str. 39)

Po 169 letniej Przerwie Pierwsza Kanonizacja Polaka

Do wszystkich miłośników Boga i Ojczyzny

Nadchodzi już dawno upragniona chwila, że Rodakowi naszemu włoży Kościół na skronie koronę najwyższej chwały, t. j. że zaliczy Go uroczystie w poczet Świętych Pańskich. Tym wielkim Sługą Bożym, który ma w najbliższym czasie, może już w bieżącym roku, doczekać się tego uwielbienia, jest ten głośny męczennik za wiarę, ten gorący miłośnik Boga i Ojczyzny, ten pocieszyciel narodu w chwilach niewoli, ten cudotwórca, rozdający od wieku zgórą tysiące i tysiące najwybitniejszych łask — **Błogosławiony Andrzej Bobola.**

Beatyfikowany przez Piusa IX jeszcze w roku 1853, od tego czasu nie przestał przychodzić z pomocą proszącym, zwłaszcza własnym rodakom. Od lat kilkunastu, odkąd przywieziono znacznie więcej Jego relikwie do Polski, zarejestrowano około 2000 znacznie większych wysłuchań. Otóż, czytelnicy, w chwili, kiedy rodak nasz ma dostąpić najwyż-

szego stopnia chwały, jaki Kościół przyznaje sługom bożym, w chwili, kiedy Kościół ma wydać nieomylny wyrok o Jego świętości, my, Jego rodacy, bracia Błogosławionego Męczennika musimy dopomóc, aby obrzęd kanonizacji tak wypadł, żeby Polska nie potrzebowała wstydić się przed innymi narodami. Wiadomo, co dla swoich Świętych robiły i robią inne katolickie kraje, tak naprzykład. Francja dla Joanny d'Arc lub Teresa od Dzieciątka Jezus, Niemcy dla Piotra Kanizego, Włochy dla Jana Bosko. Polska nie może dać się wyprzedzić w ofiarom przywiązaniu do swych bohaterów.

Od 169 lat nie było kanonizacji Polaka. Niechże obchód kanonizacji Bł. Boboli odnowi przed całym światem tradycję pobożności polskiej! Musimy więc składać i to zaraz, bo znaczne sumy już dziś są potrzebne. Ale że jesteśmy biedni, składajmy drobniutkie kwoty, byle liczne. Kto może dać

więcej, niech da więcej, ale kto nie może dać wiele, niech da, czy to 20 groszy, czy pięćdziesiąt, czy jednego złotego. Z tych drobnych ofiar zbiorą się, da Bóg, znaczne sumy, byleby wszyscy poczuli się do tego religijnego i narodowego obowiązku.

Wszelkie datki należy wysyłać czy to przekazem pocztowym, czy czekiem nadawczym PKO. albo do Przewodnika Kat. z odpowiednim dopiskiem albo pod adresem promotora kanonizacji Bł. Andrzeja, Ks. Jana Rostworowskiego: Kraków, Kopernika 26, konto PKO. 414.014. Za ofiarodawców odprawione będą liczne msze święte.

Po 169-letniej przerwie znowu kanonizacja Polaka. Będą na nią patrzeć narody katolickie całego świata. Niech zdumieją, gdy zobaczą, jaki blask potrafi Polska rozwinąć, gdy Polak wstępuje w szeregi Świętych Kościoła.

M. Konopnicka.

C R E D O

W Mądrość przedwieczną, która światy tworzy,
Słońca zapala, sieje blaski zorzy,
Morza napelnia i gwiazd drogi strzeże,
W Boga i Ojca wszechstnienia wierzę.

W Miłość najwyższą, co wzgardziła niebem,
Z ludźmi się dzieląc gorzkim życia chlebem;
W Miłość, co krew swą dała nam w ofierze,
W Zbawcę ludzkości, w krzyż Chrystusa wierzę.

W serc czystych Twórcę i Pocieszyciela,
W Światło, co wieki i ludy obdziela,
W Bóstwa z człowiekiem wieczyste przymierze,
W Ducha Świętego, w Świętą Trójcę wierzę.

Wiarą tą znaczę pierś i czoło moje;
O! spraw to, Panie, niech przy niej dostoję!
Ukarz, gdy lud Twój zasłuży na karę,
Lecz nam pozostaw ojców naszych wiarę.

Ewangelja na drugą niedzielę po Trzech Królach

zapisana u św. Jana w rozdziale 2, wiersz 1—11.

Won czas odbywały się w Kanie galilejskiej gody weselne, i była tam Matka Jezusowa. Zaproszono też na gody i Jezusa wraz z uczniami Jego. A gdy zabrakło wina, Matka Jezusowa rzecze do Niego: *Wina nie mają. Jezus zaś odpowiada Jej: Mnie to zostaw, Niewiasto; nie nadeszła jeszcze godzina moja? Mówi tedy Matka Jego do sług: Zróbcie, cokolwiek wam poleci. A stało tam sześć stągwi kamiennych dla obrzędowych obmywań żydowskich; każda z nich zawierała po dwa lub po trzy wiadra. Jezus mówi do nich: Napelnijcie stągwie wodą. — I napelnili je aż po brzezi. Jezus tedy rzecze im: Zacerpnijcie teraz, i zaniescie gospodarzowi wesela. I zaniesli. A kiedy gospodarz wesela skosztował wody, przemienionej w wino, — a nie wiedział, skądby się wzięło, wiedzieli zaś słudzy, co wodę czerpali, — odzywają się do pana młodego gospodarz wesela, i mówią doń: Każdy człowiek najpierw stawia dobre wino, a gorsze dopiero, gdy sobie podpiją; ty zaś dobre wino zachowałeś na sam koniec! Taki to początek cudów czynił Jezus w Kanie galilejskiej, i objawił chwałę swoją, — i uwierzyli weń uczniowie Jego.*

NAUKA

Nie był to przypadkowy zbieg okoliczności, że Pan Jezus rozpoczął swą działalność publiczną w domu weselnym, przy boku codopiero zaślubionych małżonków i tam swój pierwszy cud uczynił.

Chrystus przyszedł na świat, by podnieść ludzkość z upodlenia, przywrócić jej utraconą godność i utracone szczęście. I dlatego zaczyna Mistrz Boski Swe dzieło od uświęcenia źródła społeczności ludzkiej i jej szczęścia: od uświęcenia małżeństwa.

Wolność, godność i szczęście ludzkości gwarantuje tylko rodzina, oparta o małżeństwo sakramentalne i nierozzerwalne.

Małżeństwo wcale nie jest rzeczą świecką, zwykłym kontraktem, ale jest rzeczą boską, aktem religijnym, jest: wielkim sakramentem! Tak zarządził to Bóg, najwyższy prawodawca i tego żądają zadania święte, ciążące na małżeństwie.

Małżeństwo to nie interes, nie instytucja ubezpieczeniowa, nie handel białych niewolnic, ale źródło święte życia przyrodzonego i nadprzyrodzonego, kamień węgielny rodziny, współudział w twórczym akcie Bożym: Małżeństwo razem z Stwór-

cą stwarza człowieka, tę istotę duszą nieśmiertelną obdarzoną, dla chwały Bożej przeznaczoną, i ma tego człowieka dla tych niebosiężnych celów wychować! Oto małżeństwa największy i istotny cel.

Tylko dwoje ludzi, których Chrystus do stóp ołtarza przyprowadził i którym Chrystus ręce związał, sprostał tak doniosłym obowiązkom i tylko tacy stworzyć mogą rodzinę szczęśliwą!

Nowożeńcy! Prowadzi was Chrystus, czy szatan do ołtarza? Chrystus tam, gdzie miłość. Ale miłość to nie gorączka zmysłów. To wnet ostygnie. Żar ten jak słońce się spali i pozostanie tylko popiół. Miłość, która jedynie winna prowadzić na ślubny kobierzec, to cześć i szacunek wzajemny, to zrozumienie i wzajemne ukochanie duszy, to szczerza gotowość do poświęceń i ofiar. Tylko taka miłość jest święta i tylko taka miłość „wszystko zniesie” i wytrwa do końca!

Jest Chrystus z wami! Tylko On umie zamienić wodę w wino. Tylko On da szaremu życiu pełnemu trosk i kłopotów urok wesela i szczęścia!

Ks. J. J.

PATRON ŻOŁNIERZY

zadawała się okaleczaniem chrześcijan, każąc im wycinać jabłko w kolanie lub wylupiać oko i tak zniekształconych wysyła na ciężkie prace do kamieniołomów lub kopalni srebra.

W tym bohaterskim okresie chrześcijaństwa umierają za wiarę słynni lekarze arabscy Kosma i Damjan, wspomniani do dziś dnia w każdej mszy św. w kanonie. Ginie w całości, po trzykrotnym zdziesiątkowaniu i okrutnych mękach, znany w historii z swej odwagi i przywiązania do wiary słynny legjon tebański (6000 żołnierzy). Umiera za wiarę w czasie przedstawienia aktor nadwornego teatru, męczennik św. Genezjusz. Idzie na wygnanie świątobliwa cesarzowa Helena, wyrzucona z pałacu od boku swego męża, gdy ten na żądanie okrutnego cesarza poślubić musi inną żonę, córkę Dioklecjana. Umierają święci kapitanowie Ursus i Wiktor, umiera oficer Paulin i święty żołnierz Feliks, ginie w Kolonji dowódca kohorty święty Gereon i wielu, wielu innych.

Ale coraz widoczniejszym się staje, że już wyraźnie ma się ku schyłkowi starego świata! Chrystus stoi u drzwi i coraz głośniej żąda wstępu. Nawet prostaczkowie rozumieją, że stara wiara bankrutuje a z podziemi katakumbowych nowa, coraz jawniej, mężniej i coraz liczniej, mimo krwawych cesarzy i mimo okropnych prześladowań, wylania się na widownię świata. Państwotworskie jest wprawdzie jeszcze wielkie ale

tron już toczy robak, śmiertelny rak, na którego niema lekarstwa. Podcezar Maksymin Daja sam się truje, gdy zostaje pobity przez drugiego podcesarza Licinjusza. Licinjusz za bunt zostaje wtrącony do więzienia i ginie okrutną śmiercią z uduszenia. Trzeci podcesarz, dziki i okrutny Maximianus Herculeus kończy także w więzieniu, wieszając się, jak zwykły złoczyńca, na stryczku.

Po pałacach cesarskich, gdziekolwiek one są, czy w Nikomedji, czy w Trewirze, czy Medjolanie lub Bizancjum, rej wodzą sztylet i trucizna. Błada intryga czyha za każdą kotarą. Nikt nie jest pewien życia. Nawet wielki nadcesarz, ów Dominus ac Deus, „Pan i Bóg”, Dioklecjan drży bezustannie o swoje życie, tarza się po dywanach jako dzikie zwierzę po ziemi, nie zaznając spokoju ani snu orzeźwiającego. W ogrodach cesarskich zamiast kwiatów pielęgnuje kapustę; jedzenia nie rusza z obawy przed trucizną, i nieraz podobno długo płacze nad swoim losem, kwiląc tak, jak płaczą dzieci nieszczęśliwe.

Taki jest koniec cesarów rzymskich, najpotężniejszych obrońców pogaństwa.

Tak giną ci zazwyczaj, którzy Bogu wypowiadają wojnę, gdziekolwiek są, czy w starożytnym Rzymie, Bolszewji czy Meksyku.

W tej strasznej rozterce ducha ogląda się Dioklecjan za dzielnym, energicznym, odważnym i wiernym oficerem, któremu mógłby powierzyć gwardję pałacową i straż nad bezpieczeństwem swego życia i zdrowia. Przedstawiają mu Sebastjana.

Po przeciwnej stronie Alp, w rzymskiej prowincji Galji, która wydała już tylu dzielnych synów, urodził się także św. Sebastjan. Jeszcze młodym był chłopcem, gdy zaczął swą wędrówkę z rzymskimi żołnierzami wzdłuż wybrzeża morskiego do Północnych Włoch. Medjolan był prawdopodobnie miejscem jego najpiękniejszych lat młodzieńczych i wyszkolenia wojskowego. Szybko idzie ku górze. W Rzymie zwraca na siebie uwagę cesarza Dioklecjana i zostaje mianowany kapitanem cesarskiej gwardji przybocznej. Czemże zdobył sobie zaufanie cesarza? Czy odwagą, mężną postawą czy czystym otwartym wzrokiem? To tylko wiemy, że choć sam był synem może jeszcze niechrześcijańskich rodziców, jednak już wówczas, gdy przybył do Rzymu, gorliwym był wyznawcą Chrystusa. Cesarz jakoby wyczuwał intuicyjnie, że najzupełniej może polegać na tym młodym, dzielnym oficerze gwardji przybocznej. Za owych czasów na dworze i w wojsku rzymskiem więcej było chrześcijan. Beznaganne życie zaprowadziło wielu ich nieraz na wysokie i wpływowe stanowiska. Przed Dioklecjanem i w pierwszych latach jego panowania była przecież przerwa w prześladowaniach; nastąpiła nawet pewna dłuższa chwila błędnego spokoju.

W tym to czasie — brzmi to jak bajka, a jednak jest prawdą — wzniesiono prawie naprzeciw pałacu cesarskiego w stołecznej Nikomedji świątynię chrześcijańską. Wolnością cieszyli się chrześcijanie wówczas i w innych miastach rzymskich. Oddawano im dawne świątynie i skonfiskowane dobra. Przy rozdzielaniu stanowisk i posad nie pytano się o przekonania religijne. To też chrześcijaństwo rozszerzało się wielce nawet wśród osób, przynależących do sfer najwyższych. Nawet żona i córka cesarza Dioklecjana skłaniały się do wiary w Ukrzyżowanego. I zdawało się, że chrześcijaństwo, licząc wówczas już około 3 do 4-rech milionów wyznawców opanuje wkrótce całe państwo rzymskie. Ale niebawem nastąpiło przebudzenie. Szatan się ocknął. Jak burza wiosenna w kwitnących ogrodach zerwało się straszne prześladowanie, dziejące i najokrutniejsze od czasów Nerona.

I teraz duch chrześcijański naczelnika Sebastjana okazał się w całym blasku. Sebastjan począł występować czynnie, choć działał narazie, według życzenia



Przedewszystkiem usuńmy pewne nieporozumienie. Znany, często napotykany po naszych kościołach obraz, przedstawiający młodego, pięknego, silnego, przywiązanego okrutnie do pnia męczyznę, pokłutego strzałami, wyobraża wprawdzie św. Sebastjana. Nie jest to jednakże chwila jego śmierci, lecz jego krwawe męczeństwo, które mężnie przecierpiał za wiarę i z którego później jeszcze wyzdrowiał.

Czasy św. Sebastjana — to wiek najwięcej bohaterski, jeden z najpiękniejszych i zarazem najokrutniejszych w dziejach Kościoła.

Nad ogromnym imperjum rzymskiem panuje cesarz Dioklecjan, człowiek twardy, okrutny i każący się tytułować „Dominus ac Deus noster” (Pan i Bóg nasz) i żądający, by upadaniem na kolana oddawano mu cześć boską. Za podcesarza obiera sobie dzikiego Galerjusza, który w jednym tylko miesiącu morduje 15 000 chrześcijan i który później, gdy w następstwie takich okrucieństw poczyna się kraj wyludniać,

Kościół, w ukryciu. Wszystkie swe wolne chwile poświęcał uwięzionym. Jego stanowisko otwierało mu wejście do każdej celi. Ukazywanie się jego w ponurem więzieniu przynosiło biednym skazańcom spokój i ukojenie. Stara legenda głosi, że w tych to czasach papież Kajus dał naczelnikowi gwardji cesarskiej przydomek „obroncy Kościoła”. Sebastjan pamiętał o nim i starał się wciąż na nowo wysłużywać sobie to chlubne imię. Jego męczeństwo łączy podanie ze śmiercią chrześcijańskich braci bliźniaczych: Marka i Marcelego. Gdy bracia ci idąc na mękę stali się lękliwi i bojaźliwi pod wpływem słabych rodziców, żon i dzieci, Sebastjan, nie zważając na to, że naraża sam siebie, płomiennymi słowami zachęcił ich do wytrwania. Pod jego to wpływem odważnie i z radością poszli z innymi na śmierć. Działo się to na publicznym placu straceń. Właśnie ten czyn miał przypłacić św. Sebastjan męczeństwem. Wiedział o tem, lecz nawet nie zdrażał.

— Cóż to ja słyszę, Sebastjanie? Śmiać mi się zachciewa na samą myśl o tem: podobno jesteś chrześcijaninem? — odzywa się wkrótce po tem wydarzeniu do niego Dioklecjan.

Sebastjan się nie śmieje.

— Tak jest, dostojny cesarzu, jestem chrześcijaninem!

— Ależ, człowieku, zaniechaj wieczesnych żartów!

— Cesarzu, jestem wyznawcą Chrystusa już od młodości!

— Czemuś tego nie powiedział?

— Boś o to nie pytał!

Następuje straszny wybuch złości, wyzwiska, groźby, klątwy:

— Obludniku! Nikczemny żołnierzu! Zdrajco podły! Bez czci i honoru!

— Cesarzu, jam zawsze wiernie służył Tobie.

Drugie zawezwanie przed tron. Cesarz jakby się uspokoił! Nie chciałby się pozbawić oficera, którego szczerze polubił i któremu mimo wszystko ufał najbardziej.

— Rzuć choć kilka ziarenek kadzidła, a jeszcze zaawansujesz!

Ale Sebastjan nie myśli ustępować!

— Cenniejsza mi wierność Bogu aniżeli wszelkie awanse okupione wyparciem się Boga!

Dioklecjan oniemiał.

Już nazajutrz wiąza Sebastjana do pala. To ostatnia i jedyna łaska cesarza. Sebastjan ma umierać śmiercią żołnierza od strzał łuczniczków, a nie od toporu katowskiego, jak umierali zwykli mieszczanie.

Łucznicy, którzy zazwyczaj strzelali tak celnie, że potrafili przekłuć na 400 metrów żrenicę w oku ofiary, tym ra-

zem dziwnie są niezręczni. Czyż drżą im ręce, że mieli uśmiercić swego ukochanego wodza? Czyż są między nimi także chrześcijanie? Bóg jeden wie.

Broczącego we krwi, prawie martwego, lecz jeszcze ciepłego znalazła wdowa Irena, gdy przybyła ażeby pochować ciało męczennika. Pod jej czułą opieką



Dioklecjan

odzyskuje Sebastjan powoli zdrowie. Z górnego okna wysokiego domu spogląda nieraz wśród długich miesięcy powracającego zdrowia na zgiełk życia dworskiego. Cierpliwie oczekuje chwili, kiedy będzie sił miał na tyle, by stanąć przed obliczem cesarza. Wreszcie dosyć jest zdrowym. Idzie więc, by jako ten, którego miano za dawno zmarłego, zastąpić cesarzowi drogę.

Cesarz przeraził się jego trupio-błedej twarzy. Nie wierzy własnym oczom: „Phantasma Sebastiani!” Duch Sebastjana przyszedł z cmentarza!

Lecz niema wątpliwości. Głos silny, stanowczy, wołający o karę za przelaną niewinnie krew chrześcijańską, głos tak dobitnie domagający się zniesienia edyktu, to znany głos naczelnika gwardji,

oficera Sebastjana.

Przestrach zabobonnego cesarza zmienia się w strasliwą wściekłość. Nie zna już łaski ni litości. Natychmiast Sebastjan zostaje wywleczony na arenę i jak dziki pies zabity pałkami na śmierć. Ciało jego wrzucają do kloaczego dołu.

Oto koniec życia dzielnego żołnierza; tragiczny, poniżający i gorzki! Działo się to około r. 300.

U przodków naszych św. Sebastjan, piękny, silny, odważny oficer cesarskiej gwardji był w wielkiej czci i poważaniu. W czasie moru i głodu, w czasie krwawych niszczących walk obierali sobie często św. Sebastjana za opiekuna.

W starych kościołach i na ścianach dawnych domów mieszczanskich, które zdobią kule armat szwedzkich, wiszą jeszcze jako święte wota, stare szerniałe obrazy: ponad wesołym ruchliwym miasteczkiem unoszą się zwiastujące burze, ciężkie, ołowiane chmury. W ciemnościach tych ukazuje się Chrystus, groźny Bóg wyrzucający wyciągniętą ręką pęk strzał na miasta i sioła. Nadolekłęczy w pełnym rynsztunku żołnierz, by rękoma swemi

pochwycić wszystkie śmiercionośne strzały moru. To św. Sebastjan, patron praocjów naszych.

W niebezpiecznych chwilach powstawały też owe litanje o Sebastjanie wołające do niego: o boski bohaterze, o nieprzewyciężony męczenniku, bojowniku Chrystusowy, niszczycielu bożków, przykładzie męnych żołnierzy, obrońco wiary, pomocy w chorobach zakaźnych! Módl się za nami!

I choć dziś minął już czas moru, cześć dla św. Sebastjana nie zaginęła w świecie. Setki kaplic i świątyń wzniesiono pod jego imieniem, a obraz jego widnieje na sztandarach licznych drużyn strzeleckich.

Ale w tej postawie przyświeca przedewszystkiem żołnierzom, którzy walczą w obronie wiary, św. Wszy okrutna strzała, także piersi i uda przesyte temi bolesnymi igłami! Bolesny to widok.

Czyż bohater polski, oddający tak ofiarnie życie w walce z bolszewikami, stojący tak nieustraszenie w okopach, trwający mimo ran śmiertelnych, zabierających mu powoli życie, a jednak nie ustę-



Św. Irena.

Ks. Franciszek Dymarski, Kap. W. P.

Na wyspie „Złotego Wodospadu“

„Serce Lodów“

Jónas Hallgrímsson, wielki pisarz islandzki, opiewa swą ojczyznę takimi słowami:

Czy znasz ten kraj, co ma łagodne oblicze,
Z modrą wierzchołkami skał
I kwiecistymi równinami,
I lodowcami olbrzymiemi?
Tu szumią górskie wodospady,
Tu szemrzą czyste morza wody.
Oby Bóg miał go w swej opiece
Po wszystkie czasy....

Island czyli Islandja znaczy właściwie „kraj lodowy“ lub „Serce Lodów“, według powieści Ferdynanda Goetla. Nazwę tę nadał wyspie jeden z pierwszych wikingów-zdobyców norweskich pod wrażeniem niezwykle ostrej i surowej zimy. Nazwa „kraj lodowy“ jest jednakże niewłaściwą. Dzięki bowiem ciepłemu prądowi morza, który ociera się o wybrzeża Islandji, nie jest ona masą śniegu i lodu, pomimo dalekiego położenia na północy.

Pod względem wielkości jest Islandja drugą wyspą europejską. Zajmuje ona przestrzeń około 100 tys. km², a liczy przeszło 120 tys. mieszkańców.

Wyzwolenie polityczne

Od końca IX w. Islandja była samodzielną republiką. W r. 1234 przeszła pod panowanie Norwegji, w 1380 r. Danji, która w XVI w. przemocą kraj sprostantyzowała. W 1843 r. otrzymała Islandja własny sejm i senat, przed 60 laty własną konstytucję, a od 1 grudnia 1918 r. (święto narodowe) została samodzielnym państwem, złączonym jedynie unją personalną z Danią, to znaczy, że król duński jest zarazem władcą „Serca Lodów“.

„Danja i Islandja są wolnymi i niezależnymi państwami, połączonymi wspólnością króla. Tytuł królewski obejmuje nazwy obu krajów“, tak brzmi paragraf pierwszy w ustawie związkowej duńsko-islandzkiej.

Obecnie prezesem ministrów i właściwym rządcą kraju jest Asgeir Asgeirsson. Pozatem mamy tylko trzy ministerja: sprawiedliwości i wyznań, spraw gospodarczych i ruchu oraz skarbu. W Kopenhadze natomiast — o którą zawadziliśmy po drodze — istnieje wydział oddzielny dla spraw islandzkich. Kieruje nim p. Krabe. Danja prowadzi zresztą w imieniu Islandji jej sprawy zagraniczne, chociaż Islandczycy dążą coraz bardziej do usamodzielnienia się zupełnego. Życzymy im tego z całego serca!

„Boże coś Polskę“ po islandzku

Nie poto czuwał niezmordowanie zpowodu gęstej mgły dzielny kapitan „Kościuszki“ p. Borkowski, by około 400 pasażerów a wśród nich blisko 300 żydów uraczyć widokami niezwykłej „krajiny lodów“. Nie!

Pierwszy w dziejach statek pod banderą polską miał swą wielkością — okrętów o takiej pojemności przybywa tu zaledwie 5—6 rocznie — w zdumienie wprawić mieszkańców stolicy Islandji i głosić dalekim ludom północy istnienie mocarstwowej Rzeczypospolitej Polskiej, której smutne losy i zmartwychwstanie uważano dotychczas za legendę.

Na zaproszenie bowiem rządu islandzkiego wybrał się z nami p. min. Michał Sokolnicki, poseł polski w Kopenhadze przy królu Danji i Islandji, Krystjanie X, by odwiedzić daleką wyspę i zawiązać przyjaźń oraz stosunki handlowe z sympatycznymi Islandczykami. Nie dziw, że przyjmowano przedstawiciela Polski ze szczególniejszemi honorami. Premier Asgeir Asgeirsson podkreślił na bankiecie, wydanym na cześć naszego ministra, że Islandczycy są narodem małym lecz dumnym i dlatego tem bardziej cieszą się



i potrafią należycie ocenić przyjazd przedstawiciela wielkiej Polski.

Szczególnie ucieszył nas podniecając mile naszą dumę narodową, moment, kiedy zaśpiewano: „Boże coś Polskę“ po islandzku. Okazało się ku naszemu niemałemu zdumieniu, że nawet dzieci tę pieśń umieją i na tę samą melodię śpiewają, chociaż tekst islandzki nieco odbiega od naszego.

Nie poprzestano na urzędowych przyjęciach i wzajemnych hołdach. Przy tej okazji omówiono bliżej sprawę wymiany towarów. Dotychczas Islandja sprowadzała nasz węgiel. Są także widoki na wywóz zboża i drzewa, którego brak dotkliwie się odczuwa. Wzamian za to mamy przywozić śledzie z Islandji, której wody słyną z nadzwyczajnego bogactwa ryb, i to wprost przez Gdynię, a nie, jak dotychczas przez porty obce, zwłaszcza niemieckie. Za złotego mniej więcej dostanie się w Reykjaviku pięć funtów ryb. W ubiegłym roku sprowadziliśmy ich około 10 tys. tonn.

Daj Boże, by nadzieje możliwości eksportu do islandji się spełniły! W każdym razie — i to najważniejsze — pokazaliśmy ludom dalekiej północy, że jesteśmy nie tylko dobrymi rolnikami, lecz tak samo dobrze obeznani z morzem, które opanowujemy na równi z innymi państwami, naszą z dnia na dzień potężniejszą flotą handlową i wojenną.

Zakonnice-Polki

Twierdził ongiś pewien mędrzec pogański, że można znaleźć miasta bez murów ochronnych i wojska, lecz niema siedziby ludzkiej bez ołtarzy, świątyń i ofiar, składanych Bogu. Dziś możnaby śmiało twierdzić, że nie spotkasz kraju ni miasta większego bez Polaków. Wszędzie są!

Że w Danji istnieje silna kolonia

polska (przeszło 10 tys.), która nam na pożegnanie śpiewała nasze narodowe pieśni, to naogół jest wiadome, ale, że na takich wyspach odludnych Faröer czyli „owczych“, w samym prawie środku Atlantyku, lub w dalekiej Islandji spotkamy dusze polskie, tego nikt z pasażerów nie przypuszczał. Tem większą była radość, gdy w Thorshavn, na „Wyspach Owczych“ i tak samo w Reykjaviku powitały nas siostry polskie, które przed kilku laty opuściły strony rodzinne, by z całym zaparciem się siebie wśród obcych głosić Chrystusa, zarazem szerzyć kulturę polską, a co najważniejsze: uczyć dzieci w ochronkach śpiewać po islandzku: „Boże coś Polskę“! Aż łzy perlily im się w oczach,



Na północnym zachodzie Islandji, w głębokim fiordzie leży miasto Isafjordur. Ściany fiordu stromo opadają ku głębokiej wodzie. Wobec ogromu skał domki wyglądają jak pudełka zapalek.

gdy po tylu latach ujrzały rodaków, co ojczystą przemawiają mową.

Cześć franciszkanom-Polkom, które na odległych wyspach północnych szerzą myśl Chrystusową i polską. Jest to uważam najlepszą propagandą Polski. A jednak, jak mało ją doceniamy i jeszcze mniej misje polskie popieramy. Miał wyrzucić tysiące na zagraniczną propagandę papierową, lepiej było niejednokrotnie przeznaczyć te pieniądze żywym szerzycielom ducha polskiego — misjom polskim.

I mniejby kosztowało i skutek byłby obfitszy!

Warto jeszcze podkreślić, że w Reykjaviku powitała nas żona pewnego urzędnika, także Polka, która dzieci swe wychowuje w duchu narodowym.

Należy jej się za to szczególne uznanie.



Przed wiekami Islandja była oparciem dla dalekich wypraw śmiałych żeglarzy północy — Wikingów. Oto pomnik jednego z nich, który, podobno na kilka wieków przed Kolumbem, odkrył Amerykę. Pomnik jest darem Stanów Zjednoczonych A. P.

Żywotność katolicyzmu

Pierwszą próbę nawrócenia pogańskich mieszkańców Islandji podjął w r. 981 Thorvaldur Kodransson a później św. Olaf. Praca ta jednakże nie wydała początkowo plonu. Dopiero dwaj nawróceni Islandczycy Gizur Mądry i Hjalti Skjeggjason (około r. 1000) szerzej rozkrzewili chrześcijaństwo, tak, że im właściwie zawdzięcza Islandja światło ewangeliczne, co potężną luną zajaśniało w mrokach północnych. Świadczą o tem dziś jeszcze ruiny kościołów, jak np. katedry w Kirkjubö, na „Wyspach Owczych“.

Później niestety został kraj gwałtownie sprotestantyzowany i tak zawzięcie strzeżony był od wszelkich wpływów katolickich, że przez trzy wieki nie wstąpiła nań stopa misjonarza katolickiego.

Dopiero w ostatnich latach katolicyzm rozkwitł w zdumiewający wprost sposób. W Thorshavn (ok. 5000 mieszk.) na wyspach Faröer, gdzie katolików jest zaledwie kilkunastu, wystawiono wielką kaplicę, szpital, mieszkania dla sióstr i ochronkę; w Reykjaviku zaś (na 23 tys. mieszkańców zaledwie 400 kat.) wspaniała katedrę w stylu nowoczesnym, panującą nad



Islandja jest wyspą wymarłych i czynnych jeszcze wulkanów, z których największym jest Hekla. Znaczne połacie kraju pokryte są lawą, t. j. masą wylewającą się z wulkanów podczas wybuchów.

całą stolicą, pozatem największy szpital i siedzibę biskupia.

Rządcą diecezji jest obecnie Ks. Bisk. Meulenbergh, Niemiec. Przed trzydziestu laty przybył na Islandję jako misjonarz. Mozolna jego praca wyjada powoli błogosławione skutki, co szczególnie cieszy Ojca św. Piusa XI, który w dowód uznania ofiarował mu okazałą figurę Chrystusa dla katedry biskupiej.

Szczerze uradowany był ks. Biskup naszym przyjazdem, zwłaszcza dość licznych kapłanów. Na wspomnienie o Ks. Prymasie Hlondzie, którego poznał był w czasie pobytu w Rzymie, odezwał się:

— Ein sehr netter Mann und grosser Kardinal — nadzwyczaj miły człowiek i wielki kardynał.

Inni księża i siostry zakonne pochodzą przeważnie z Holandji, gdyż Islandja była oczkiem w głowie Kard. Van Rossum (ur. w Zwolle w Holandji i zmarłego niedawno), prefekta Kongregacji Propagandy Wiary, który misjonarzy holenderskich uważał za najzdolniejszych do działania w tych okęgach misyjnych.

— Poczóż budujecie tak ogromne i bądź co bądź kosztowne świątynie, kiedy katolików możnaby u was na palcach policzyć? — zapytuje jedną z sióstr-Polek.

— No dlatego, że poprzednia kaplica okazała się za małą, a i obecnie jest w niedzielę pełno na nabożeństwach — dodaje zakonnica.

— Jakim sposobem?

— Dla tej prostej a ciekawej przyczyny, że tutejsi protestanci bardzo chętnie przychodzą na nasze nabożeństwa, wstają nawet na Ewangelię św., słuchają kazań, a ich dzieci, które uczęszczają do naszej ochronki, służą niejednokrotnie do Mszy św.

Co kraj, to inny obyczaj. Może łaska Boża usunie fałę dotychczasowej nienawiści i przyprowadzi ich do prawdziwej wiary.

Reykjavik

Reykjavik, obecna stolica Islandji, założoną została przez wikinga Ingolfura, a tak nazwana od kilku ciepłych źródeł, które znalazł w pobliżu, a które jeszcze dziś są wykorzystywane. Po wymarciu rodu Ingolfura, Reykjavik był probostwem przez kilka wieków, później osadą rybacką, a dopiero z końcem XIX w. rozbudował się, by stać się

stolicą państwa, siedzibą najwyższych władz państwowych oraz miejscem zbiegania się sejmu.

Domy w Reykjaviku są po większej części zbudowane z drzewa, z dachami blaszanymi lub przykrytymi ziemią, na której wyrasta bujna trawa. W nowszych czasach wybudowano oprócz wspaniałej katedry różne gmachy i domy z żelaza i betonu.

Mały lecz piękny gmach sejmowy zbudował architekt duński Meldahl w r. 1881 z lawy. Na parterze tegoż gmachu mieści się uniwersytet i galerja narodowa (wystawa dzieł sztuki), a na piętrze sale posiedzeń sejmu i senatu.

— Przy tak małej liczbie posłów (28)



Nad stolicą Reykjavik panuje wspaniała, wznieśiona z kamiennych ciosów, katolicka katedra.

i senatorów (14) obrady toczą się chyba snadnie i w zgodzie — zapytuje miłego przewodnika.

— Ale gdzieżtam — odpowiada tenże. — Mamy aż sześć partij, które niezgorzej i zawzięcie się zwalczają. Najlepiej — szepce mi do ucha — byłoby wyrzucić większą połowę posłów, bo za dużo krzyczą, a za mało pożytecznie dla kraju działają.

Zwiedziliśmy pozatem kilka wcale okazałych muzeów, które umożliwiły nam poznanie życia i kultury kraju od czasów najdawniejszych aż do najnowszych.

Niedaleko od gmachu sejmowego, w katedrze protestanckiej, znajduje się arcydzieło sztuki, mianowicie chrześcijańska słynnego artysty-rzeźbiarza Thorvaldsena, podarowana przez niego swej ojczyźnie.

— Islandiae, terrae sibi gentiliae pietatis causa donavit Albertus Thorvaldsen — Islandji, ziemi ojczystej, podarował dla gorącego przywiązania Albert Thorvaldsen — brzmi napis.

Nigdzie dotychczas nie widziałem tak misternie wykutych w białym marmurze kwiatów i symboli, jakimi artysta ozdobił chrzcielnicę. Zdawało się, że przed chwilą ktoś przystroił ją wieńcem cudnych białych róż.

Bodaj większe jeszcze wrażenie wywarły na nas dzieła drugiego rzeźbiarza islandzkiego Einara Jonssona, który swym artystyzmem wcale nie ustępuje znanemu więcej Thorvaldsenowi, twórcy pomników Poniatowskiego i Kopernika. Co za rozmach i głęboka myśl w jego rzeźbach!

Grozą przykuty, godzinami człowiek wpatruje się w taką np. twarz, nazwaną „Wyrzuty sumienia”. Z oblicza zbrodniarza pełnego przejmującej męki i boleści wewnętrznej, przekonywujemy się naocznie, co za straszna rzeczą musi być grzech, jeśli tak straszne sprawia wyrzuty sumienia. A jednak człowiek jest głuchy i ślepy na wszystko. Jeden bowiem z duchów dobrych przewiesił się poprzez czoło grzesznika, wpił końce palców głęboko w oczy, by je otworzyć. Niestety — zbyt silnie przyknięte powieki nie pozwalają na to, bo człowiek nie chce swych niedogodności zobaczyć. Inni aniołowie-stróż szepcą mu do uszu słowa napomnienia, lecz z twarzy widać spełnienie się słów Pisma św.: „oczy mają, aby nie widzieli; uszy mają, aby nie słyszeli”.

Niemniej silnie przemawiały do nas inne rzeźby znakomitego artysty-rzeźbiarza, pełne niespotykanej dotychczas głębi myśli, jak „Grób”, „Dzień i noc” lub „Fala czasu”, którą przedstawia nam mistrz jako kobietę z ogromnemi, pofalowanemi warkoczami. W nich plątają się ludzie wszystkich wieków i stanów, młodzi i starzy. Tak, tak! My rządźmy światem, a nami kobiety, lub, jak dosadniej stwierdza nasze przysłowie polskie: gdzie djabeł nie może, tam babę pośle!

Reykjavik zawdzięcza Einarowi Jonssonowi również potężny pomnik swego założyciela Ingólfa Arnarssona.

Islandja ma wprawdzie lichych malarzy, lecz zato znakomitych artystów-rzeźbiarzy. (Ciąg dalszy nastąpi.)

Cud weselny (Objaśnienie do obrazka na stronie tytułowej)

Z obrazu, przedstawiającego gody w Kanie Galilejskiej, dajemy tu tylko grupę środkową, przedstawiającą Pana Jezusa i oblubieńców. Chrystus dłoń prawą kładzie na ramieniu mężczyzny, lewą ujmując dłoń niewiasty, która drugą swoją dłoń trzyma na ręce męża. Tworzy się łańcuch związku, którego ogniwem jest Chrystus, ogniwem uświęcającem go jako rodzinę. Bez

Chrystusa bowiem niema rodziny chrześcijańskiej. Ta łączność Chrystusa z rodziną dziwnie znamienne wyrażona jest w opowieści ewangelicznej o godach w Kanie Galilejskiej.

Chrystus nie odmawia udziału w godziwej radości i podnosi stopień tej radości, dostarczając koniecznego do uczyty weselnej wina. Okazał się przeto przyjacielem ludzi i przy-

jacielem radości. Obecność Chrystusa na godach weselnych jest uświęceniem rodziny, jest zarazem potwierdzeniem najstarszego Sakramentu, ustanowionego przez Boga w raju — Sakramentu Małżeństwa. Gody w Kanie Galilejskiej są jakby pierwszym małżeństwem chrześcijańskim zawartem wobec Chrystusa, uświęconem przez Jego obecność i Jego Łaskę.

PRAWO DZIECKA

Mała jaskółeczka spadła z gniazda i piszczała żałośnie, rozdzierając szeroko żółte gardziółko. Dojrzał ją czarny taksik Żuczek i rzucił się do niej przez zalany słońcem trawnik, zamiatając śmiesznie krzywymi łapkami. Ale za Żuczkiem pędził jego sześciolatek pan, Jurek. Spostrzegłszy ptaszka przyczajonego pod drzewem, odgonił z wielkim krzykiem i tupaniem psa, złapał jaskółkę, choć w przerażeniu tłukła rozpaczliwie skrzydełkami i utuliwszy ją w dłoni, biegł w triumfie do mamusi, pokazać swą zdobycz. Kapelusz zleciał mu z głowy, zwichrzona czupryna opadła na oczy, ale on nie zważał na to. Wesole oczka sypały iskry, buzia śmiała się radośnie na samą myśl o tem, jaką to niespodziankę sprawi mamusi, kiedy podkradnie się do niej cichutko na palcach i ptaszka jej na ramieniu posadzi.

Cicho uchylił drzwi do salonu. Ale zanim jeszcze rozsunał portjery i wszedł do pokoju, wiedział już, że z niespodzianki nic nie będzie. — Mamusia nie była sama... Obok jej drogiego, miłego głosu rozlegał się inny głos jeszcze, podniesiony i gniewny jakgdyby... Jurek znał ten głos... To był „on”. Pojawiał się zawsze wtedy, kiedy tatusia nie było w domu... A po każdej jego bytności mamusia chodziła blada i smutna z czerwonymi od łez oczyma i nikt, nawet sam Jurek nie umiał jej wtedy pocieszyć, ani zająć. Więc chłopiec nie rozumiejąc nic, znenawidził te przyjazdy i wszystko, co z niemi związane: sapiącą maszynę, która go przywoziła i ten jego mocny, pewny siebie głos, jakim do wszystkich przemawiał. Gdy tylko głos ten w domu słyszał, miał zawsze jakieś niepokojące uczucie, że coś złego, jakaś krzywda się dzieje... jemu, mamusi, czy też tatusiowi, który odjeżdżając w swą daleką podróż, mamusię na opiece Jurka, niby dorosłego mężczyzny pozostawił.

Teraz oto zjawił się znów, by mu zepsuć całą przyjemność, na którą tak bardzo się cieszył. Trzymając wciąż jaskółkę w ściśniętych dłoniach, namyślał się Jurek, ze ściągniętymi niechętnie brwiami, czy mimo wszystko wejść do pokoju, czy też korzystając z tego, że go nikt nie widział, umknąć poprostu do ogrodu, do przerwanej zabawy i wesołej gonitwy z Żuczkiem. Znenawidzony głos odzywał się wszakże wciąż z taką natarczywością, że chłopiec zdecydował się nagle wejść. A nuż mamusi groziło rzeczywiście jakieś niebezpieczeństwo. Nie było jej wcale słyhać. A tatuś kazał mu przecie czuwać nad nią... Chowając za siebie rączkę z uwiecznionym ptaszkiem, wysunął głowę z za ciężkiej kotary, rzucając niespokojne spojrzenie do środka i w tejże chwili oddech zamarł mu w piersi... Mamusi nie działa się żadna krzywda i nie groziło jej też żadne niebezpieczeństwo, ale mały Jurek doznał w tej krótkiej chwili pierwszego, prawdziwego cierpienia w życiu...

„On” nie krzyczał na mamusię i nie gniewał się na nią wcale, ale stał przy niej blisko, obejmował ją i gładził po włosach... a mamusia... opierała mu głowę na ramieniu, jakgdyby to nie „on”, ale tatuś był na jego miejscu, i śmiała się cichutko z rozjaśnioną twarzą.

Jurek stał i patrzył... Chciał się ruszyć z miejsca i nie mógł. Chciał krzyczeć i płakać, że się boi, że coś straszego i niezrozumiałego się dzieje, chciał wołać o pomoc, ale nie mógł głosu ze ściśniętego gardła wydobyć... tak strasznie, jak w tej chwili, bywało mu dotąd tylko we śnie.

— Pamiętaj, Jureczku, że jesteś już dużym mężczyzną i że na twojej opiece spokojnie pozostawiam mamusię — zabrzmiały mu w uszach słowa tatusia.

Chłopiec przetarł oczy i chwilę jeszcze stał bez ruchu. Ach, teraz wiedział już dobrze, że mógł się ruszać, że mógł krzyczeć i płakać, ileby mu się tylko podobało, ale nie zrobił tego, choć gorzkie, palące łzy same do oczu mu nabiegały, a usta i broda trzęsły się od hamowanego płaczu. Był przecie mężczyzną i wiedział, że łzy tu nic nie pomogą. Otwierając mimowolnie zaciśnięte powieki raz jeszcze, jak przez mgłę, spojrzał przed siebie: w pokoju nic się nie zmieniło... „On” obejmował wciąż mamusię i szeptał jej coś do ucha, mamusia mu odpowiadała przez łzy i śmiech.

Bez słowa, przymykając ostrożnie drzwi za sobą, wymknął się Jurek z pokoju. Ale zaraz musiał przystanąć, wspierając się o ścianę, by nie upaść. Serce biło w nim mocno, nierówno, przed oczyma latały czarne i czerwone płatki.

Wolno, potykając się, zwłókl się przed dom, do ogrodu.

Uderzyło go jaskrawe słońce w oczy. Teraz dopiero przypomniał sobie o małej jaskółeczce, którą wciąż trzymał w ręku. Nie trzępotała się już, ani piszczała, tylko pa-

trzyła na niego wylękniona oczami jak paciorki i pod palcami czuł łomot jej małego, ptaszęcego serduszka. Tak właśnie biło i jemu serce, tam, na górze... w pokoju...

Ponad głową mignęła mu raz i drugi duża, granatowa jaskółka, tak nisko, że mógłby jej prawie dotknąć wyciągniętą dłonią. Okrążyła go wciąż, napełniając powietrze rozpaczliwym piskiem.

— To pewnie matka tej małej — pomyślał Jurek z roztargnieniem — matka... mamusia... mamusia.

Długo, niepewnie, stojąc pod oślepiającym promieniami południowego słońca, przecierał mokre od napływających, słonych łez powieki, pragnąc odegnać na-

trętne wspomnienie widzianego obrazu... I to nieznośne klócie koło serca...

Ucałowawszy ptaszka w aksamitne piórka posadził go na gałęzi drzewa, pod którym przed



Ale za Żuczkiem pędził jego sześciolatek pan, Jurek.

godziną niespełna go znalazł. Matka krążyła nieustannie ponad drzewem, bojąc się wszakże przybliżyć, dopóki Jurek stał pod nim, więc chłopiec odwrócił się nagle i zrazu wolno, później coraz prędzej jął biec przed siebie, bez celu, byle dalej, byle dalej od domu. Był już prawie bez tchu, kiedy potknąwszy się upadł miękko na stóg skoszonego siana na łące, za ogrodem. Tam też znalazł go Żuczek, gdy w parę chwil później zatęskniwszy za swym panem, wyruszył węsząc jego śladami. Ujrawszy go leżącego nawznak, z rękoma podłożonemi pod głowę, rzucił się ku niemu z radosnem ujadaniem, na znak wielkiej uciechy długim, mokrym językiem przejechał mu po twarzy. Ale Jurek nie zwrócił na niego uwagi. Rozmyślał... rozmyślał z takim natężeniem, że prawie nie czuł promieni słonecznych, przepalających mu głowę. Bo teraz nie tylko widział wciąż przed oczami postać mamusi, tulącej się do tamtego, ale i przypominał sobie z przedziwną wyrazistością słowa ich rozmowy, na które w swem

poprzed-

niem zamieszaniu nie zwrócił wcale uwagi.

Mówił więc, mówił „on” mamusi, że przyjedzie po nią wieczorem samochodem i zabierze ją ze sobą daleko, w świat. A mamusia nie przeczyła, nie bronila się wcale. Zasłoniła sobie tylko na chwilę rękoma oczy i zapytała cichutko:

— A Jurek, a dziecko, a synek... — Mimo to zgodziła się jechać odrazu.

A jednak mamusia nie mogła odjechać. Mimo wszystko, co widział i słyszał miał Jurek niezbitą pewność, że to nastąpić nie może. Bo i cóżby powiedział tatus, gdyby wróciwszy z podróży zastał dom pusty, bez mamusi. Tatus przecie nie może i nie powinien się nigdy dowiedzieć o tem, co dziś zaszło. Gdyby on był w domu, nie stałoby się to wszystko. Ale tatusia nie było i Jurek sam musiał sobie radzić, a taki mały, taki niezaradny, słaby i zmęczony czuł się w tej chwili. Głowa go bolała, tysiące drobnych szpileczek czuł w skroniach. Mamusia nie pozwalała mu nigdy chodzić bez kapelusza po słońcu i Jurek słuchał jej dotąd zawsze. Ale teraz miał ważniejsze rzeczy na głowie, które zbiegły się wszystkie w jedno postanowienie uparcie dzwiczące mu w myśli: mamusia nie powinna odjechać i on sam, Jurek musi jej w tem przeszkodzić.

I oto nagle błysnęła mu myśl zba-wienna, a tak prosta i łatwa, że zadziwił się szczerze, jak mógł odrazu na nią nie wpaść, tak długo tracąc czas napróżno: poprostu uda chorego... Mamusia nie porzuci go, nie odejdzie, gdy będzie myślała, że potrzebuje jej pomocy przy sobie, że jest słaby i chory. Przecie mamusia go kocha. Jurek pamięta dobrze, że ile razy leżał w łódeczku, czuwała przy nim zawsze, całe dnie i noce, nie odchodząc od niego i nie dając się nikomu wyręczać, aż nawet tatuś gniewał się o to i nazywał przesadą.

— Mamusia nie odjedzie, nie odjedzie, nie odjedzie — powtarzał z radością, czując taką ulgę, jakgdyby zsunął mu się z piersi cały ugniatający go ciężar. Ale wraz z uczuciem zadowolenia i spokoju ogarnęła go wielka senność i osłabienie. Głowa mu ciążyła, ręce i nogi miał jak z ołowiu, powieki same się do snu sklejały, u gdy je przymknął zdawało mu się, że ziemia usuwa się pod nim i że leci gdzieś w przepaść...

Jak przez mgłę słyszał z oddali głos mamusi wzywającej go

niepotrzebnie, bo przecież nie jest chory naprawdę.

Zapadał siwy mrok, robiło się ciemno i straszno, w każdym kącie pokoju czaiły się jakies nieludzkie zjawy i potwory, ale Jurek nie pozwolił zapalać światła, tylko kazał matce usiąść przy sobie blisko, tak blisko, by mógł wyczuć każdy jej ruch, gdyby zechciała wstać i odejść od niego.

Ona jednak nie myślała o odejściu.

— Spróbuj usnąć, Jureczku, — prosiła go czule, gładząc mu rozpalone czoło miękkiemi, kojącemi dłońmi. — Zobaczysz, zaraz zrobi ci się lepiej.

Usnąć, ale tego właśnie bał się Jurek najwięcej. Cóżby to było, gdyby usnął i przebudziwszy się zobaczył, że mamusi już niema. Przecież wieczorem miał przyjechać „on”. Raz po raz wyciągał rączkę, szukając poomacku kolan matczynych.

— Jesteś przy mnie, mamusiu, jesteś i nie odejdziesz? — pytał niespokojnie.

— Jestem, jestem synku, odpowiadała niezmiennie, jakby trochę zdziwiona tem naleganiem.

Płynęły wolno godziny... Chłopiec chwilami zapadał w drzemkę, chwilami znów zdawał się majaczyć. Ale gdy tylko z oddali doleciał ledwo dosłyszalny zrazu dźwięk syreny samochodowej, zerwał się odrazu, chwytając matkę za ręce.

— Co się stało, Jureczku?

Co ci jest, mój malutki?

— Mamusiu, to „on”, to „on” przyjeżdża po ciebie...

— Co ty mówisz, syneczku — przestraszyła się mamusia. — Skąd ci to przyszło do głowy?

Coraz bliżej, coraz bliżej sły-

chać ryk samochodu.

— Mamusiu, nie jedź — błagał Jurek, obejmując mocno kolana matczyne. — Nie porzucaj mnie, jestem mały i chory, cóżbym robił bez ciebie... Ja i tatuś potrzebujemy ciebie bardzo... Nie pojedziesz od nas, mamusiu?...

Długo siedziała matka w milczeniu, a ręka jej, którą gładziła czoło syna, drżała jak liść.

— Nie pojedę nigdzie, Jureczku — powiedziała wreszcie przez zły. — Nie porzucilibym nigdy swego chorego synka. Będziemy zawsze razem, mój maleńki.

Długo, przeciągle ryczała syrena przed domem. Ktoś natarczywie przyzywał mamusię do zejścia nadół. Mamusia jednak siedziała przy łódeczku i ani się ruszyła. Trzasnęły drzwi wejściowe, zadudniły schody, szybkie kroki rozległy się na korytarzu, zatrzymały pode drzwiami. Chłopiec pochwycił rękę matki biejącą w mroku i przycisnął ją do serca. Jakże mocno ono



— Spróbuj usnąć, Jureczku — prosiła go czule, gładząc mu rozpalone czoło miękkiemi, kojącemi dłońmi.

do siebie. Ale pierwszy to raz chyba Jurek nie odezwał się i nie pobiegł na jej spotkanie. Otworzył oczy wtedy dopiero, kiedy klęczała przy nim na sianie i kładła mu na głowie miękkie, chłodne ręce, a Żuczek ze skomleniem liżał mu nogi. Było mu dobrze, tylko słabo, że nie chciało mu się wcale odpowiadać na jej niespokojne, pełne troski pytania. Tylko, kiedy go wzięła na ręce i niosła przez ogród do domu, objął ją mocno rękoma za szyję i przytulił się do niej bez słowa.

Rozebrany przez mamusię i otulony kołderką leżał Jurek w łódeczku, dysząc ciężko. Doprawdy, doprawdy nie spodziewał się nigdy, że tak łatwo jest udawać chorobę. Każdy jego ruch, każde słowo zdawały się głęboko przerażać matkę. Jurkowi żal było patrzeć na jej zalęknione, wpatrzone w niego oczy i gdyby nie myśl o tatusiu, błękitnym marynarzu, podróżującym gdzieś daleko po obcych morzach, dawnoby ją już uspokoił, by się nie martwiła

biło. Jakże się trzępotało trwoźniel Drzwi rozwarły się. Jurek nie odwracając głowy wiedział, że na progu stoi „on”. Mimo ciemności jednym rzutem oka ogarnął wszystko i snadź odczuł całe niebezpieczeństwo, bo porywczym głosem, w którym drżał tłumiony niepokój, jał obrzucać mamusię gorzkimi wymówkami. Mamusia wstała i wnet usiadła, powstrzymana błagalnym szepcetem syna. Więc tylko znużonym, pełnym smutku ruchem wskazała na białe łóżeczko leżącego dziecka. Jurek trzął się z wrażenia, słuchając jej smutnego, łzami i smutkiem nabrzmiałego głosu. Mówiła dużo, prędkim, przyciszonym szepcetem, jakby w obawie, że za chwilę zabraknie jej odwagi na wypowiedzenie wszystkiego. Mówiła więc, że się rozmyśliła, że nie pojedzie z nim, ani dziś, ani jutro... nigdy już, że miejsce matki jest przy dziecku, zwłaszcza zaś małym i chorem, że mając do wyboru szczęście własne i dziecka, poświęca swoje dla niego...

Cisza była i tylko gorące dłonie dziecięce gładziły serdeczną pieczęcią kolana płaczącej matki, gdy samochód ze zgrzytem wciskał się w mrok. Ale potem, kiedy ucichły ostatnie dźwięki trąbki na zakręcie, przyciągnął Jurek matkę ramionami do siebie, prosząc ją, by usiadła przy nim i wysłuchała go, bo bardzo winnym się czuje w stosunku do niej.

— Nie jestem wcale chory — mamusiu — mówił drżącym przerywanym głosem. — Udawałem tylko wszystko, całą chorobę, bo chciałem ci przeszkodzić, żebyś nie porzuciła nas, kiedy „on” przyjedzie po ciebie.

— A skądże ty wiedziałeś, Jureczku, że ja miałam odjechać? — pytała

mamusia z trudem tłumiąc łzy, nabiegające jej wciąż do oczów.

— Skąd wiedziałem, mamusiu? — Opowiem ci to wszystko później, tylko trochę odpoczne, bo taki jestem zmęczony.

Ale nie opowiedział jej już nic. Po przeżytych wzruszeniach podniosła się znacznie gorączka, odbierając mu przytomność. Majaczył tylko wciąż niespokojnie o schwytej jaskółce, o Żuczku i o tatusiu, który mamusię na jego opiekę pozostawił. Nad ranem uspokoił się trochę. Szybki, głośny oddech, przycichł, i stał się równiejszy, rozpalone ciało ochłodziło. Widząc to mamusia, wyczerpana całonocnym czuwaniem, zdrzemnęła się trochę, opierając głowę o fotel. Niedługo wszakże spała. Obudziła się nagle w przerażeniu i poczuciu jakiegoś niebezpieczeństwa. Zaleknione oczy zwróciła na białe łóżeczko. Jurek nie spał już. Siedział pośród rozrzuconej pościeli wyprostowany, sztywny, utkwivszy w matce nadmiernie rozszerzone oczy. Oczy te zdawały się o coś najgoręcej błagać, czegoś żądać i wymagać, małe ręce zaciskały się koło sukni matczynej z jakąś niezwykłą, rozpaczliwą siłą. Pociągnięta tem spojrzeniem usuwała się mamusia na kolana przed białym łóżeczkiem. Łzy jak groch spływały po jej twarzy, kiedy całując małe, zimne ręce dziecka, mówiła do niego ze szlochem:

— Tak, Jureczku, tak



synku, obiecuję ci, że cokolwiek się stanie, nie odejdę stąd nigdy, słyszysz mnie, mój małutki? A kiedy tatuś powróci z podróży, zastanie nas oboje, Jureczku, oboje oczekujących na niego z tęsknotą. I będziemy szczęśliwi... jak zawsze dotąd... szczęśliwi wszyscy troje, prawda, syneczku...

Jak miękko, jak łagodnie kołysały go słowa mamusi... słuchał ich, jak pięknej, czarodziejskiej bajki, którą opowiadał mu zawsze tatuś na dobranoc. Tatuś... niema go przy nim teraz... a mimo to bajka jest... Im dłużej jednak jej słuchał, tem większa senność i słabość go ogarniały. Twarz mamusi wydawała się jakaś zamazana, głos jej daleki był i niewyraźny.

Zdjął go nagły lęk. Co to jest, co się z nim jednak dzieje, przecie on tylko udaje, przecie on wcale nie jest chory...

Tak ciemno stało się wkoło i mamusi prawie nie widać... Z okrzykiem lęku i grozy porwał się z łóżka, wyciągając przed siebie ręce w ostatnim wysiłku. Odpowiedział mu krzyk mamusi, chwytającej go w ramiona. Lecz Jurek go już nie słyszał. W zamglonych oczach zwróconych na matkę obok twógi widniało bezgraniczne zdumienie.

— Ach, mamusiu, — wyszeptał pochylonej nad sobą, — zdaje się, że za dobrze udawałem chorobę.

Chciał jeszcze coś mówić, o coś pytać, walcząc chwilę z ogarniającą go niemocą. Lecz godzina walki przeminęła już dla niego. Błękitne oczka powlekała zwolna mgła niepamięci, małe rączki, co tak dzielnie umiały przywiązać matkę do ogniska domowego, rozplotły się, opadając wzdłuż ciała, głowa zsunęła się ciężko z ramienia matki i opadła bezwładnie wtył, ciężąc ku ziemi...

Liturgia jest najlepszym poglądowym podręcznikiem etyki chrześcijańskiej

Kalendarz liturgiczny

Poniedziałek, 20 stycznia: Ś. S. Fabjana i Sebastjana Męcz.

Św. Fabjan rzadził Kościołem bożym od roku 236 do 250. Idąc za przykładem Apostołów, podzielił Rzym na 7 okregów i wyznaczył każdemu z nich jednego diakona, który miał mieć pieczę nad ubogimi. Powiększył też liczbę subdiakonów czyli notarjuszów rzymskich, ustanowionych już przez św. Klemensa, którzy mieli dokładnie spisywać historję ŚŚ. męczenników, aby pamięć ich życia i śmierci nie zginęła dla potomstwa. Za panowania Decjusza zdobył koronę męczeńską.

Wtorek, 21 stycznia: Św. Agnieszki, Dziewicy Męcz. Była panią przedziwną piękności. Piękniejszą od jej ciała była jednak jej dusza, która umiłowala już w dziecięctwie w sposób nadzwyczajny anielską cnotę czystości, za którą ścięto jej jako 13-letniej panience w okrutny sposób głowę w r. 304. Osm dni po śmierci miała się ukazać swym rodzicom w otoczeniu świętych dziewic, mając przy sobie jagnię białe jak śnieg. Wobec tego chowają zakonnice, zamieszkujące klasztor, przylegający do bazyliki św. Agnieszki w Rzymie, baranki, z których wełny robią paljusze arcybiskupie. Te paljusze Ojciec św. dzisiaj poświęca i składa je na grobie ŚŚ. Apostołów. Później rozsyła je arcybiskupom jako oznakę ich godności. — Święta Agnieszka jest jedną z najwięcej czczonych Świętych w Rzymie. „O, jak piękny jest czysty rodzaj z jasnością; nieśmiertelna jest pamięćka jego.” (Męd. 4,1).

Sroda, 22 stycznia: Ś. S. Wincentego i Anastazego, Męcz. Św. Wincenty został oddany przez

swych świętobliwych rodziców na wychowanie Biskupowi Waleremu z Saragossy w Hiszpanji, który nauczył go świętobliwego życia i wiadomości bożych. Kiedy wychowanek doszedł do wieku dojrzałego, wyswięcił go Biskup na diakona. Ponieważ Walery był już w bardzo podeszłym wieku a przytem się zajakiwał, polecił młodemu diakonowi urząd kaznodziejski. Wszędzie tedy przemawiał św. Wincenty za swego Biskupa, a głosił słowo boże z takim zapalem i z taką gorliwością, że całe masy pogan nawracały się do Chrystusa, za co został uwięziony przez Dacjana, namiestnika okrutnego cesarza Dioklecjana. Umarł w roku 304. Św. Wincenty jest trzeci spośród diakonów, którzy się wstawili w Kościele katolickim. (Pierwszy św. Szczepan, drugi św. Wawrzyniec.)

Św. Anastazy był mnichem z Persji. Za czasów cesarza Herakljusza odwiedził Ziemię świętą i tutaj wycierpiał dużo dla swej chrześcijańskiej wiary. Niedługo potem męczyli go w okrutny sposób dla tej samej przyczyny Persowie i ścięli jemu wraz z 70 jego towarzyszami głowę na rozkaz króla Chosroesa.

Czwartek, 23 stycznia: Św. Rajmunda z Pennaforti, Wyzn. W 45 roku życia wstąpił jako wikarjusz generalny do Barcelony do zakonu Dominikanów. Tutaj napisał bardzo praktyczny podręcznik dla spowiedników (summa casuum conscientiae). Papież Grzegorz IX wezwał go do Rzymu i uczynił go swym kapelanem i spowiednikiem i powierzył mu zebranie w jedno wszystkich dekretów papieskich i soborowych od r. 1150. Święty prawnik wywiązał się z tego zadania świetnie. W r. 1235 Papież mianował go arcybiskupem Tarragony, lecz pokorny zakonnik łzami i prośbami wyprosił się

od tej godności i wrócił do swej celi zakonnej. Umarł w 100 roku życia, nawróciwszy przez swe mądre zarządzenia 10 000 Saracenów. Jest patronem spowiedników. Zachęcił św. Tomasza z Akwinu do napisania swego dzieła filozoficznego „Summa contra gentiles”, aby tem łatwiej nawracali się Saraceni.

Piątek, 24 stycznia: Św. Tymoteusza, Biskupa Męcz. Najmilszy uczeń św. Pawła Apostoła i jego towarzysz w podróżach misyjnych, pomocnik i przyjaciel, choć miał dopiero 20 lat. Był zresztą podobny swemu Mistrzowi co do usposobienia. Dzielił z nim dole i niedole; był nawet z nim we więzieniu w Rzymie. W młodym wieku odebrał św. Tymoteusz święcenie biskupie z rąk swego ukochanego Mistrza i został biskupem w Efezie. Św. Paweł napisał do niego jako do biskupa efeńskiego dwa listy, znajdujące się w Piśmie św., pouczając go w nich o obowiązkach pasterskich. Umarł śmiercią męczeńską w r. 97.

Sobota, 25 stycznia: Nawrócenie św. Pawła Apostoła. Wczoraj obchodziliśmy pamiętkę ucznia św. Pawła, dzisiaj obchodzimy pamiętkę jego wielkiego Mistrza, Apostoła narodów, a mianowicie pamiętkę jego nawrócenia. Nawrócenie św. Pawła jest jednym z największych zdarzeń w dziejach objawienia bożego; dzięki niemu bowiem otrzymał świat, cały świat — rzecz można — światło ewangelji. Dzień dzisiejszy jest także dniem największego zwycięstwa łaski bożej nad grzesznym człowiekiem. On nam mówi, że łaska boża może wszystko; jest zdolna pokonać największą złość i największe namiętności ludzkie i przeobrazić człowieka zupełnie. Czy staram się o nią na każdym kroku?

JAK CIEN...

Powieść

28)

XVIII.

Sprawa Skawin—Liński ciągnęła się bardzo długo. Nie można było dokompletować aktu oskarżenia.

Pojedynczych cegiełek było dużo, ale niektórych jednak brakło, a co za tem idzie, nie można było wykończyć wielkiego i mocnego gmachu.

— No, bo jakże — mówił prokurator Chotecki, któremu powierzono prowadzenie sprawy. — Wiemy różne rzeczy: wiemy, że Skawin przyjechał do Białej Róży przebrany, rezerwując sobie na przyszłość naturalną swoją postać dla Saldiniego. Tam zamordował Lińskiego — podrzucił okulary i szalik, aby służyły za corpus delicti (dowód przestępstwa) — wsadził trupa do worka, który mógł mieć ukryty pod ubraniem, ucharakteryzował się na Lińskiego (ubranie zdjął z nieboszczyka) i uciekł. Widocznie poznał przedtem okolice doskonale, bo bez wahania pojechał do bagna, tam wrzucił worek ze swoim makabrycznym ładunkiem i...

Rozłożył ramiona.

— Sprytny szelma, jak sam szatan! — prezentował się wszędzie jako Liński, potem w byle zakątku się rozcharakteryzował... i z całym spokojem przechodził pod nosem tych, co go ścigali! To wszystko jasne, jak dzień, ale...

Trzasnął pięścią w stół.

— Powód! powód!

Przeszedł się po pokoju.

— Bo gdyby to była taka sobie wrodzona krwiożerczość, no... toby mógł i na kimś innym ją wyrzucić... bez takiego narażania się...

Wzruszył ramionami.

— Bo choćby i to morderstwo Marka Lińskiego!

Znowu się parę razy przeszedł, stanął przed księdzem Matusiakiem, który wezwany do składania zeznań, siedział w gabinecie i słuchał w milczeniu.

— I współnika musiał mieć... ale o to już mniejsza... znajdziemy go, gdy znajdziemy powód...

Rzucił się na krzesło i ze złością zapalił papierosa.

— Powód, dla którego na tę jedną rodzinę się wziął!...

Ksiądz słuchał spokojnie, a potem bąknął półgłosem:

— Liński byli bogaci... w razie ich śmierci cały majątek spadał na żonę Skawina...

Prokurator w czoło się uderzył.

— Prawda! na myśl mi to nie przyszło! ale bo wszyscy zawracaliście mi głowę cnotami i zaletami tej Skawinowej... dałem się zasugerować... Naturalnie! i ten przyjazd do zupełnie nieznanego wuja, pod pozorem ucieczki przed zniemawidzonym mężem... i poddanie myśli spaceru — uderzył ręką w papiery na stole — i wogóle całe to małżeństwo po trzytygodniowej znajomości... przecież to jasne! to było wszystko zgóry umówione! Skawinowa była współni...

Nie dokończył. Szeroko otwartymi oczami spojrzął na księdza, który porwał się z miejsca i z niesłychaną siłą pięścią w stół huknął.

— Nieprawda!

Aż dygotał z uniesienia. Twarz mu się krwią zalała, z oczów szły błyski. Stał chwilę — poczem ochłonał, spuścił głowę i bardzo zawstydzony jął się tłumaczyć.

— Przepraszam pana prokuratora, najmocniej przepraszam... zapomniałem się! To nie do darowania! Proszę się nie gniewać na starego księdza!

Ujął rękę Choteckiego, uściśnął kilkakrotnie.

— Ale żeby pan wiedział!... to takie biedne, takie strasznie biedne, nieszczęśliwe dziecko... a takie dobre! Muchyby nie skrzywdziło!

— Więc jakże ksiądz to tłumaczy? — przerwał niecierpliwie prokurator. — Przecież w aktach sprawy iksinowskiej — uderzył ręką w papiery — wyraźnie jest powiedziane, że ona zaproponowała ów spacer... Prawda, że wówczas przypuszczano, że była w zмовie z wujem dla zamordowania męża...

— A teraz jej zarzucacie zмовę z mężem dla zamordowania wuja — odpowiedział ksiądz.

Zapatrzył się w przestrzeń i zaczął mówić zwolna, jakby goniąc jakąś wymykającą się myśl:

— Nie, nie! ani jedno, ani drugie... powtarzam, znam ją dobrze... za dobrze... ona jest niezdolna do zbrodni!

Znow pomilczał chwilę.

— W tem wszystkim jest jakaś tajemnica. Ona męża nienawidziła, bała się go... on, zdaje się, kochał ją dziką, przerażającą cygańską miłością i chciał... i chciał...

Urwał. Prokurator nie spuszczał oka z tego niepozornego księdza, jakby z ust jego oczekiwał rozwiązania zagadki.

Proboszcz patrzył przed siebie z wyważeniem.

— Była taka scena... taka straszliwa scena przed jej drzwiami...

Przeciagnał ręką po czole.

— Czy w rzeczach po Skawinie nie znaleziono jakiej jego fotografii? — zapytał nagle.

— Owszem — odpowiedział zdziwiony prokurator — znaleziono... dużą, bardzo dziwną... jest dołączona do aktów sprawy.

— Czy mógłbym ją zobaczyć?

— Dlaczego nie.

Chotecki zadzwonił, wydał odpowiednie zarządzenia i po chwili ksiądz Matusiak trzymał w ręku fotografię Skawina, rozmiaru t. zw. buduarowego. Piękna głowa była wtył odrzucona, przepyszne oczy patrzyły przed siebie z dziwnym wyrazem...

Proboszcz wpatrywał się w nią dosyć długo — zaczął szeptać cicho:

— Jak wtedy... jak wtedy...

— Więc co, księżo proboszczu? — zapytał trochę już znieczepliwiony Chotecki.

Ksiądz ocknął się z zamyślenia, położył fotografię na stole i powiedział:

— Panie prokuratorze, nie chcę, nie mogę nic mówić, śmiałybyście się może z biednego księdza... ale czy pan nie byłby łaskaw przysłać kogoś do Sieliniec dla przesłuchania pani Skawinowej, ale koniecznie z tą fotografią!

— Z tą fotografią — powtórzył prokurator, badawczo patrząc na księdza. — Hm!



Fot. Pikiel, Warszawa

Te Deum w Kaplicy Zamkowej w Warszawie po uroczystym nalożeniu biretu kardynalskiego J. Em. Ks. Kardynałowi Marmaggiemu przez Pana Prezydenta Rzeczypospolitej. W pierwszym szeregu w środku w kapie kardynalskiej z biretem w dłoniach J. Em. Ks. Kardynał Marmaggi, przepasany wstęgą orderu Orła Białego. Po prawej ręce Ks. Kardynał w gronostajowym kołnierzu Ablegat Stolicy Św. Ks. prałat Pacini, po lewej — J. Eks. Ks. Biskup połowy Gawlina. W drugim szeregu: J. Em. Ks. Kardynał Kakowski i J. Em. Ks. Kardynał Prymas Hlond. Za Ks. Kardynałem Marmaggim kapitan gwardji szlacheckiej w Watykanie, hr. Pietromarchi, który przywiózł od Ojca św. biret kardynalski.

z tą fotografią, powiada ksiądz proboszcz! A pani Skawinowa nie mogła by tu przyjechać?

Ksiądz potrząsnął głową.

— Chora jest...

— Chora? A tak, tak, to już było kilka razy stwierdzone — uderzył ręką w akta. — Dobrze, ja sam jutro przyjadę.

Było około południa, gdy przed dwór w Sielińcach zajechał powóz, wiozący prokuratora i jego sekretarza.

Na ganku obok Andrzeja Lińskiego stał ksiądz Matusiak, blady, widocznie głęboko przejęty.

— Panowie pozwolą na skromną przekąskę — powiedział gospodarz.

— Ale bardzo skromną... mało mam czasu, następnym pociągiem muszę wracać do Warszawy — odpowiedział Chotecki.

— I tak musimy czekać na doktora — mówi Liński, prowadząc gości do jadalni.

— Na doktora? — zdziwił się prokurator.

— Tak... eksperyment, który panom doradzam, jest trochę ryzykowny... może nawet dla pani Skawinowej niebezpieczny, ale sądzę, że lepiej narazić jej zdrowie, choćby bardzo poważnie, niż zostawić ją przez całe życie pod zarzutem współnictwa w morderstwie — wyrzekł ksiądz.

Chotecki pokiwał głową.

— Ma ksiądz proboszcz słuszność...

Nie skończyli jeszcze jedzenia, gdy zajechał doktor Przeradzki.

— Jesteśmy w komplecie, możemy chyba iść — powiedział wstając prokurator.

— Ja nie pójdę — powiedział Liński. Dosyć już miał tych przejść straszliwych... trzął się cały na wspomnienie zajął warszawskich.

Gdy się dowiedział, że analiza sądowa wykazała w owej tak pachnącej kawie ilość trucizny, mogącej zabić kilku ludzi, zemdlał prawie i dłuższy czas nie mógł przyjść do siebie.

Teraz poszedł do gabinetu i usiadłszy w zwykłym swoim fotelu, z drżeniem czekał na wiadomości.

A tamci udali się wszyscy na górę do pokoju Dory.

Pierwszy wszedł doktor, ażeby zbadać stan chorej. Leżała cicha, milcząca, nie zwracając na nic uwagi.

— Taka jest ciągle od tamtego dnia — mówiła zapłakana panna Bożena.

Dotknął czoła Dory, zbadał puls... wzruszył ramionami. Niech wejdą! Jesliby mieli czekać na wyzdrowienie...

Weszli wszyscy pod wielkim wrażeniem. Ksiądz Matusiak pochylił się nad leżącą.

— Dorciu — powiedział miękkiem, łagodnym głosem — poznajesz mnie? To ja, ksiądz Stanisław.

Milczenie. Chora wpatrywała się bezmyślnie w przeciwległe okno.

Ksiądz położył rękę na jej głowie.

— Dorciu, popatrz...

Dał znak prokuratorowi, który wyjął z teki fotografię Skawina i ustawił ją w promieniu widzenia leżącej: jasne, zimowe słońce padało wprost na martwy wizerunek, czyniąc go żywym.

Wzrok chorej nagle się na nim zatrzymał — zaczęła drżeć, powoli, powoli uniosła się i na łóżku usiadła.

Oczy jej rozszerzały się coraz bardziej, traciły blask, zdawały się w głąb cofać, wyciągnęła ręce przed siebie, jakby zmorę jakąś odpychając. Z ust jej wydobył się bezdźwięczny szepot:

— Nie chcę... nie chcę... — nie odwracała od fotografii oczów, które nabierały coraz bardziej kamiennego wyrazu.

I znowu zaczęła szeptać:

— Muszę... muszę... już wiem... nie zapomnę...

Znów chwilowe milczenie.

— Wujaszku, niech wujaszek zawiezie Arkadego do lasu na swojej maszynie.

Umilkła. W pokoju panowała grobowa cisza — zdawało się, że wszyscy oddychać przestali.

I znowu zaczęła mówić.

— Nie, nie — na maszynie. On nigdy na takiej nie jeździł.

Ostatnie słowa wyszły z jej ust zupełnie bez dźwięku, ostatkiem siły wydać wypowiedziane. Głowa jej zwiśla na piersi, postać się załamała, osunęła na poduszki zemdlona.

Rzucił się ku niej doktor.

— Odejdźcie panowie... muszę ją ratować — jeżeli się da...

Wyszli.

Na korytarzu przystanęli, popatrzyli na siebie: twarze mieli sino blade.

— Nic podobnego nie przechodziłem! — mruknął prokurator, obcierając czoło z potu.

— Więc teraz rozumie pan, co ją zmusiło do małżeństwa w przeciagu

Fata Morgana

Fata Morgana! Jakieś obce, mądre słowo, pochodzące chyba z Arabji, Egiptu albo zgoła — z Abisynji. Co to słowo właściwie oznacza?

Otóż podczas świąt czytałem ciekawą opowieść, która rozgrywa się w pustyni. Przez gorące piaski pustynne, wśród palącego żaru słońca kroczy karawana, powoli, leniwie. Wielbłądy upadają z wycieńczenia. Jeźdźcy umierają od pragnienia i gorączki. Wokoło ani śladu źródła lub zieleni.

Nagle na widnokręgu odsłania się cudny widok. Błyszczy w słońcu złota tafła jeziora. Dookoła kołyszą się palmy zielone. Białe kopuły i wysmukłe minarety wznoszą się ku niebu. Nowe życie wstąpiło w zamierającą karawanę. Wielbłądy i jeźdźcy pędzą naprzód ostatkiem sił... Wtem rozwiewa się cudne widziadło jak mgła. Nie było to nic innego tylko Fata Morgana, złudny odbłask powietrzny. Rozwiał się ostatni blask nadziei. I karawana kroczy dalej poprzez sypy piasek i słoneczny żar — ku śmierci.

Mimowoli przypomniał mi się ten obraz podczas świąt Trzech Króli. Trzej Królowie też szli przez pustynię wśród długich dni i tygodni. Ale nie pozwolili omamić się żadnymi złudnymi zjawiskami. Mieli jako przewodnika gwiazdę, która wskazywała im nie-

omylnie drogę do Betleem, drogę do prawdy i do zbawienia.

Niestety, ludzie często zamiast pójść za gwiazdą betlejemską — wolą uganiać się za złudą i fałszem. Bolszewicy obiecywali głodnym i spragnionym ludziom raj na ziemi, a zamiast raj — dali biednemu narodowi nędzę, niewolę lub śmierć. Wśród ludu naszego także kręca się różni fałszywi prorocy, którzy zamiast prawdy Bożej głoszą ludziom jakieś nowe objawienia i nowe mądrości religijne, zamazane a mgliste; zamiast prawdziwego Kościoła polecają inne kościoły i obrzędy sekciarskie z śpiewami, naukami i innymi dziwami.

A poczciwy naród nieraz goni za temi nowinkami i objawieniami — jak owe wielbłądy w pustyni za zgubną Fata Morgana, zamiast pójść za gwiazdą betlejemską, zamiast trzymać się mszy św., prostej a starej, którą głosi nam Kościół z polecenia Chrystusa.

Niedawno temu napisał mi list pewien „katolik z Iłży”. Co to jest za „Iłża”? Czy to miasto, czy wieś i gdzie to leży, zgoła nie wiem. Ale mniejsza z tem. Otóż ów katolik rzucił się na czytanie biblii i ma teraz różne wątpliwości i zarzuty przeciwko Pismu św., których swoim „chłopskim rozumem” rozwiązać nie umie. Zwraca się więc

do mnie, abym ja mu te rzeczy wyjaśnił.

Otóż to, drogi panie. Chłopski rozum w sprawach religijnych nie wystarczy. Ile to było mądrych ludzi na świecie, nie tylko z rozumem chłopskim, ale z doktorskim, profesorskim, filozoficznym, a jednak w sprawach wiary nie umieli dać sobie rady. Dopiero Chrystus przyszedł i przyniósł nam Objawienie i założył Kościół i wysłał apostołów, aby nauczali wszystkie narody, a na drogę powiedział im: Kto was słucha, mnie słucha.

Więc zdaje mi się, drogi panie, że czytanie biblii tylko według chłopskiego rozumu nie zaprowadzi was do prawdy, lecz prędzej do jakich adwentystów lub badaczy amerykańskich, lub innych sekciarzy.

Nie żądajcie ode mnie, prostego człowieka, abym wam Pismo św. objaśniał. Nato przecież dał nam Chrystus Kościół, dał nam papieża, biskupów, kapłanów, aby nam prawdę Bożą tłumaczyli.

Jeżeli chcesz mieć porządne ubranie, idziesz do porządnego krawca, aby ci je uszył. Własnym przemysłem uszyłbyś pewnie jakiego straszaka na wróble.

Jeżeli dokuczają ci ślepa kiszka, idziesz do lekarza, aby ci dla owej ślepej pani dopasował okulary, bo lekarz na tem

trzech tygodni... do udania się pod opiekę wuja... do zachowania tajemnicy, nieomal aż do śmierci — powiedział ksiądz.

Złożył ręce, modlił się po cichu.

W jadalni spisano protokół, poczem sądownicy odjechali, a proboszcz poszedł do Lińskiego.

— I co? — zapytał drżącym głosem pan Andrzej.

Ksiądz z ciężkością opuścił się na fotel.

— A cóż... jak podejrzywałem. Nieszczęśliwa działała pod hipnotycznym wpływem męża. Wpływ ten obudził się, gdy spojrzała w jego oczy, nawet na fotografii...

Otrząsnął się.

— To był szatan wcielony...

Uderzył się ręką po ustach.

— Nie wolno mi tak mówić...

Przeżegnał się i zaczął szeptać:

— Boże! zmiłuj się nad jego grzeszną duszą!

Pan Andrzej siedział w milczeniu z pochyloną głową.

— A Dora? — zapytał cicho.

— Bardzo źle... najpierw popadła w

się zna, to jest jego fach. Gdybyś próbował majstrować około medycyny własnym, chłopskim rozumem, mógłbyś przy sposobności wykurować się na śmierć.

Jeżeli grozi ci koza, udajesz się do adwokata, bo to jest specjalista od kozy i potrafi ci powiedzieć, jak masz się przed kozą bronić.

Otóż z religią ma się rzecz podobnie. I tutaj mamy fachowców, mamy duszpasterzy naszych; oni najprędzej i najlepiej nam pomogą we wątpliwościach. Więc nie namyślając się długo, wziąłem ów list z wątpliwościami biblijnymi i poszedłem do mego księdza proboszcza, męża zacnego i mądrego, prosząc grzecznie o wyjaśnienia.

Pierwsza wątpliwość: Stary Testament jest też Pismem św. Czemu więc są tam opisane różne zbrodnie i zgrzeszenia?

Odpowiedź: Pismo św. opisuje prawdę. A prawda jest, że w Kościele jak i w Starym Zakonie żyli nie tylko ludzie święci, ale i grzesznicy. Świętych namyślać, grzeszników, w szczególności grzechy ich, mamy sobie obrzydzić. Prawdą jest i to, że w Starym Testamencie moralność nie stała jeszcze tak wysoko jak w Nowym, np. co do życia małżeńskiego. Prawo Mojżeszowe brało wzgląd na twardość serca żydowskiego. Mimoto stały obyczaje żydowskie o wiele, wiele wyżej, aniżeli obyczaje ludów pogańskich, pełne bezeceństw i okrucieństwa.



Fot. Rubens, Poznań.

Srebrny jubileusz kapłaństwa w Archidiecezjach Gnieźnieńskiej i Poznańskiej

Od lewej do prawej, rząd pierwszy: X. Prof. L. Ziemiński (Ostrów), X. Prob. Dr. K. Strauss (Strzydzewiec), X. Prałat Dr. K. Rolewski (Poznań), X. Kan. Dr. W. Adamski (Poznań), X. Prob. J. Sztukowski (Poniec), X. Prob. K. Metelski (Dziewierzewo). Rząd drugi: X. Prob. J. Kliche (Długie Stare), X. Prob. E. Mrotek (Golańcz), X. Prob. I. Geppert (Nakło), X. Prob. St. Malecki (Krotoszyn), X. Prob. J. Jarczewski (Zydowo), X. Prob. T. Farulewski (Pieranie), X. Prof. St. Drygas (Poznań). Rząd trzeci: X. Prob. F. Nowicki (Pałędzie Kościelne), X. Prob. A. Rogalewski (Bukownica), X. Prob. F. Bodzianowski (Owińska), X. Prob. M. Strehl (Ostrowo nad Gopłem), X. Prob. M. Heymann (Skarboszewo), X. Prob. St. Fengler (Sokolniki).
Prócz tego obchodzi dwudziestopięcioletnie święceń kapłańskich: X. Stefan Schoenborn, Prałat-Prepozyt Kapituły Kolegiackiej w Kruszwicy, X. Dr. Władysław Grzelak, Prof. Uniwersytetu w Krakowie, X. Jan Konopczyński, Prob. w Bydgoszczy i X. Franciszek Dahlke, Prob. emeryt. w Gnieźnie. — Czcigodnym Księgom Jubilatom składa Redakcja życzenia wszelkich łask Bożych w życiu kapłańskim w najdłuższe lata.

stan hipnotyczny, zaczęła powtarzać słowa, które jej wtenczas w lksinowie poddawał... potem zemdląła.

Westchnął ciężko

— Boję się o nią... bardzo się boję... ale nie żałuję tego, co zrobiłem! Nawet kosztem jej życia warto ją było

Druga wątpliwość: Skoro Stary Testament jest słowem Bożem, czemu zachowujemy tylko 10 przykazań, a czemu nie zachowujemy innych przepisów żydowskich o jedzeniu, o długach, o sądownictwie?

Odpowiedź: Mojżesz z woli Boga był nie tylko wodzem religijnym, ale także wodzem narodowym; ogłosił ludowi nie tylko przykazania religijne, ale także przepisy społeczne i prawne. Były one przeznaczone dla żydów i dla Starego Zakonu. My nie jesteśmy żydami i nie żyjemy w Starym Zakonie; dlatego nie obowiązują nas liczne przepisy żydowskie, chociaż są w Piśmie św.

Trzecia wątpliwość: Czemu księża biorą tyle pieniędzy od ludzi za usługi duchowne, skoro Pan Jezus powiedział: Darmoście wzięli, darmo dawajcie? (Czy wy jesteście naprawdę dobrym katolikiem, mój panie? Bo dobre dzieci nie zazdroszczą rodzicom kawałka chleba; dobrzy katolicy nie zazdroszczą też ojcu duchownemu utrzymania, które staje się z dnia na dzień chudsze.)

Odpowiedź proboszcza: Nie przeczę, że i w stanie duchownym mogą zdarzyć się czasem nadużycia. Ale skoro już chcemy odwołać się na Chrystusa, więc niechże i ja odwołam się na Pana Jezusa. Gdy Zbawiciel wysłał apostołów na misje, nie dał im pieniędzy na drogę, lecz obowiązek utrzymania ich złożył na wiernych, jak o tem czytać można w ewangelji u św. Łukasza 10,7 lub Mateusza 10,10.

z tego piętna oczyścić!

Liński porwał się nagle, rzucił mu się na szyję.

— Masz słusność... Córka Marji nie mogła żyć jako zbrodniarka! Z tego samegoby umarła!

Zapłakali obaj.

— Ale ona nie umrze... Bóg się zmiłuje! Chodź, Andrzej, pomodlimy się za nią.

Ukłękli i zaczęli mówić: „Pomnij o Przenajświętsza Panno Marjo...”

Niskie, nabrzmiałe uczuciem męskie głosy rozlegały się uroczyście w mrocznym gabinecie. Tłumiły je ciężkie przy drzwiach portjery, dywan na podłodze i wyściełane meble. Modlący się jednak czuli, że słowa ich dobiegają hen wysoko, do stóp Królowej Niebieskiej.

Zapukano do drzwi.

Obaj mężczyźni podnieśli się z kolan.

— Proszę — powiedział Liński.

Wszedł doktor. Był widocznie zakłopotany.

— Jak się ma Dora? — zapytał niespokojnie pan Andrzej.

Doktor rozłożył ręce. (C. d. n.)

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga: Wolno katolikowi czytać Pismo św., ale winien czytać wydanie z aprobatą kościelną i objaśnieniami, aby uniknąć niepotrzebnych wątpliwości; niech czyta przede wszystkim ewangelje św.; na całe Pismo św. zawsze jeszcze będzie czas, gdy wzrośnie we wiedzy i w latach.

Podziękowałem proboszczowi za grzeczne wyjaśnienie i spisałem je tu tak, jak umiałem, dla dobra miłych Czytelników.

Nakoniec jeszcze dwie drobne wiadomości:

1. Ogłaszam z radością, że czcigodny Janek Oblesiwiat otrzymał pomnik, pomnik nie z kamienia lub metalu, lecz z kwiatów. Otóż ogrodnik p. Wojciech Stężak, Podhajczyki, p. Tremblowa, woj. tarnopolskie, wyhodował nową piękną odmianę dalii (georginji), koloru żółto pomarańczowego z odcieniem łososiowym, której bulwy będzie można od niego w przyszłości zamówić. Odmiana ta otrzymała nazwę „Janek Oblesiwiat”. Brawo! Niech żyje!

2. Siostrzeniec mój, zwany kuzynem z Baranowa, wyjechał na krótki czas. Wobec tego nie można było listu miłej p. Zosi narazie mu doręczyć. Przy tej okazji jednak ks. redaktor zmarszczył gładkie zwykle czoło, mówiąc, że „Przewodnik” niestety nie może zajmować się prywatnymi sprawami.

Z życia katolickiego

Uroczystość nałożenia biretu kardynałskiego J. Em. Ks. Kardynałowi Marmaggiemu odbyła się w Warszawie dnia 4 stycznia b. r. Biret przywiózł z Rzymu kapitan papieskiej gwardji szlacheckiej hr. Pietromarchi. Do Zamku zawiózł go ablegat papieski ks. prałat Pacini. Ks. Kardynał Marmaggi w towarzystwie szefa protokołu dyplomatycznego hr. Romera wyjechał z nuncjatury w powozie Pana Prezydenta w otoczeniu szwadronu szwoleżerów. Przy wyjeździe i przed kolumną Zygmunta fanfaryści odegrali fanfarę. Przy wjeździe na Zamek kompanja honorowa prezentowała broń, a orkiestra odegrała marsz papieski.

W kaplicy zamkowej zbrali się przedstawiciele rządu, sejmu, senatu, wojska, oraz ambasadorowie i posłowie państw obcych. Po prawej stronie ołtarza było miejsce dla Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, po lewej dla Ks. Kardynała Marmaggięgo. Przed ołtarzem zasiedli: Ks. Kardynał Kakowski i Ks. Kardynał Prymas Hlond oraz obecni na uroczystości Arcybiskupi i Biskupi. Honorową służbę pełnili Kawalerowie maltańscy z hr. Hutten-Czapskim, swoim prezesem, na czele.

Przed Mszą św. Ks. Ablegat Pacini w sali zamkowej spełnił wobec Pana Prezydenta swoją misję, wręczając insygnja kardynałskie i pismo Ojca św. z odpowied-

nie przemówieniem. Pan Prezydent odpowiedział, prosząc o wyrażenie Ojcu św. wyrazów podziękowania, hołdu i synowskiego przywiązania.

Mszę św. celebrował Ks. Biskup Gawlina w asyście kapelana Pana Prezydenta, ks. prałata Humpoli.

Po Mszy św. Ablegat papieski odczytał breve (pismo) Ojca św., poczem Ks. Kardynał Marmaggi zbliżył się do Pana Prezydenta, który dokonał obrzędu nałożenia biretu. Po tym obrzędzie odśpiewano Te Deum.

Następnie w sali marmurowej wobec zebranych uczestników uroczystości Ks. Kardynał Marmaggi wygłosił podniosłe przemówienie, w którym podziękował Panu Prezydentowi za dokonanie aktu nałożenia biretu, zapewnił o swojej głębokiej przyjaźni dla Polski i przedstawił **nierozerwalność wiekowych więzów, jakie łączą Polskę ze Stolicą św., kulturę polską z kulturą łacińską. Przez tę łączność zasłużyła sobie Polska na nazwę: zawsze wiernej.**

Pan Prezydent podziękował za to zapewnienie przyjaźni dla Polski i wyraził Ks. Kardynałowi podziękowanie za jego pełną poświęcenia pracę w okresie swej ośmioletniej nuncjatury w Polsce. „Mogę zapewnić — mówił — Waszą Eminencję, iż piękne jej przemówienie, wspominające

o świętych tradycjach dawnej Rzeczypospolitej, zostanie wraz ze mną przez cały Naród głęboko odczute i należycie zrozumiane. **Jest bowiem również i naszym życzeniem, by stosunki między Stolicą Apostolską i Polską stale się zacieśniały.**“

Po tych przemówieniach Ks. Kardynał podziękował Panu Prezydentowi uściskiem dłoni, a po jego odejściu składał podziękowania Ks. Kardynałowi Prymasowi Hlondowi, Ks. Kardynałowi Kakowskiemu, członkom Rządu, generałowi Rydzowi Śmigłemu, dyplomatom oraz zebranych gościom.

Nasza Biblioteczka

Wydawnictwa Księgarni św. Wojciecha.

Helena Radwanowa. Moje sny o Jezusku. Ilustrował Wacław Boratyński. Stron 31. Cena 1 zł 50.

Jest tych snów dwanaście: zimowe, wiosenne, letnie i jesienne. Każdy jest miłym obrazkiem dobrego, pełnego litości czynu małego Jezuska. Wdzięczne czytania dla małych dzieci.

Ks. Stanisław Kubista. Krzyż i słońce. Powieść dla młodzieży z licznymi ilustracjami. Stron 158. Cena w opr. 3 zł.

Powieść z czasów, kiedy chciwy i okrutny Hiszpan Pizarro podstępnie zdobył Peru, gdzie mieszkali spokojni i szlachetni czciciele słońca. Ale nie Pizarro przyczynił się do zwycięstwa Krzyża. On chciwością sprawił, że Inkasowie krzyż znieśli. Do krzyża przywiodła ich męczerska ofiara misjonarza Don Pedra. Powieść bardzo zajmująco napisana, pełna pięknych obrazów kraju i wstrząsających zdarzeń.

Wyrób masła

(Sprawy Kobięce)

Na nic przydadzą się wszelkie zażegnania, wbijanie grzebienia w masielnicę, stawianie jej na podkowie, jeżeli do wyrobu masła nie przygotowujemy odpowiednich warunków ciepła to znaczy, nie zażrejemy śmietany do temperatury 14—20° Celsjusza. Takiej bowiem ciepłoty wymaga śmietana do zmaślenia w porze zimowej. W lecie wystarczy temperatura 8—14 stopni.

Naturalny sposób zagrzewania śmietany odgrywa tutaj ważną rolę. Broń Boże — stawiać garnki ze śmietaną na gorącej blasze, lub też wstawiać je do rury piecowej, czyli powszechnie zwanej „framugi“.

Najlepiej ociepla się śmietaną w ten sposób, że w dużym garnku zagrzewa się wodę do temperatury 35—40 stopni, poczem wstawia się w nią naczynia ze śmietaną. Powolutku i równomiernie musi się śmietana zagrzewać. Dlatego trzeba ją stale mieszać i badać temperaturę.

Powiecie na to, panie gosposie, że taki sposób zagrzewania śmietany jest dobry, jeżeli tej śmietany jest jeden lub dwa garnki. Lecz i przy większej ilości śmietany, znajdzie się możliwość jej zagrzania. Sprawia to trochę roboty, lecz czynność ta mniej zajmuje czasu i mniej nerwy targa, aniżeli długotrwałe kręcenie masielnicy.

Otóż przy większej ilości naczyń ze śmietaną trzeba ją zagrzewać w baljach. Przygotować kocioł gorącej wody, zażrzać ją nawet silnie, albowiem w balji woda prędko wystygła, więc trzeba co pewien czas dolewać gorącej. Na początek jednak przygotować w wan-

nie wodę o temperaturze 35—40 stopni. Wody tej nie dawać zbyt dużo i postawiać w niej naczynia ze śmietaną. Termometr może stale pływać w balji.



Gdy woda trochę przestygnie, trzeba dolać gorącej, lecz tak, by nie przekroczyła wyżej podanej ciepłoty. Nie należy pominać badania temperatury śmietany i gdy osiągnie pożądane ciepło, można przystąpić do zmaślenia jej. Zazwyczaj masielnica jest czysta, gdyż tylko nieliczne gosposie o tem

nie wiedzą, że jeżeli masielnicy nie wypróżni się natychmiast i zaraz jej się nie wyszoruje, to masło później w niej robione nabiera prędko zjeźdźłego smaku i nie można go długo przechowywać.

Mimo, że masielnica była wyszorowana po ostatnim wyrobie masła, należy przedewszystkiem zdjąć na dłuższą chwilę wieko aby wywietrzała, potem ją popłókać a wreszcie wyparzyć i wygrzać, by śmietana w nią wlana nie ochłodziła się zbyt prędko.

Ponieważ i zbyt duże wypełnienie masielnicy utrudnia zmaślanie śmietany, dlatego zaleca się masielnic obrotowych nie napełniać powyżej 1/3 ich pojemności.

O tem, że masło trzeba robić w ciepłym pomieszczeniu niepotrzebnie pisać, lecz wolę zrobić tę wzmiankę dla przestrogi.

Pod koniec pozwałam sobie zwrócić uwagę, byście, Kochane Gosposie, nie żałowały wody do płókania masła i solą zbyt mocno nie szafowały.

Do czego to podobne, by na targach kupowano masło wiejskie do pieczenia, bo do smarowania chleba to go prawie użyć nie można.

O można, można smarować niem chleb i wprost zjadać się chlebem smarowanym masłem wiejskim, trzeba tylko trochę więcej starań dołożyć, by masło wiejskie udoskonalic; a polepszenie masła zależy w dużej mierze od czystości naczyń, w których się je robiło i od należytego wypłókania maślanki z masła.

Im częściej zmienia się wodę przy płókanu masła, tem jest ono lepsze.

Gem.

Z TYGODNIA: Roosevelt chwali rządy demokratyczne

Zapowiedź nowych ustaw

Skończyły się pełnomocnictwa rządu. Teraz ustawy, przez rząd złożone, rozpatrywać i uchylać będą izby prawodawcze. Zapowiadają ustawę o izbach pracy, które powstaną z przedstawicieli robotników i urzędników. Jak przedsiębiorcy mają izby przemysłowo-handlowe, jak rzemieślnicy — izby rzemieślnicze, jak adwokaci, lekarze — swoje izby zawodowe, a rolnicy mają izby rolnicze, tak i świat pracy będzie posiadał własne przedstawicielstwo. Ale kiedy? Zdaje się, że jeszcze nie w tym roku. Przedstawicielstwo to trzeba będzie opłacać z zarobków robotniczych. Zapowiada się także usuwanie mężatek z posad państwowych i samorządowych, ale te mężatki, które mają prawo do emerytury, których mężowie są nauczycielami, lub mało zarabiają, oraz kobiety z wyższym wykształceniem usuwane nie będą. Nie zanosi się więc na duże „redukcje” mężatek, które zresztą uchwały na pewnym zebraniu, aby usuwać z posad państwowych kawalerów.

Uchylenie konkurencji

Rząd obiecał ograniczyć konkurencję zakładów państwowych, czyli złagodzić tak zwany etatyzm. W tym celu minister przemysłu i handlu rozpoczął już rozmowy ze „światem gospodarczym”, czyli fabrykantami. A w przyszłym miesiącu rozmowy będą zakończone. Chodzi tu głównie o deficytowe przedsiębiorstwa państwowe, które albo trzeba będzie zwinąć, albo odprzedać w ręce prywatne. Przedsiębiorstwa, pracujące na obronę kraju, oczywiście ani zamknięte, ani sprzedane nie będą.

Zmiany

W rządzie są dwie zmiany: wiceministrem oświaty został pułkownik Błęszyński, przedstawiciel naszego wojska w Paryżu, a ministrem komunikacji mianowany ma być pułkownik Ulrych.

Zaostrzenie neutralności

Duże wrażenie w całym świecie wywarła mowa prezydenta Roosevelta w sejmie amerykańskim. Kilka miesięcy temu sejm ten uchwalił neutralność, czyli obojętność

Stanów Zjednoczonych wobec wojny Włoch z Abisynją. Na mocy tej neutralności Stany nie sprzedawały broni ani Włochom, ani Abisyńczykom. Ustawa, głosząca neutralność Ameryki, uchwalona była na krótki czas. Teraz nadchodzi chwila, żeby ją albo przedłużyć, albo zaostrzyć. Amerykanie są raczej za zaostrzeniem neutralności. Jakto mamy rozumieć? Oto prezydent Roosevelt mógłby, upoważniony przez sejm i senat amerykański, zakazać lub bardzo ograniczyć wywóz do państw walczących nie tylko broni, ale różnych surowców, na wojnie używanych, jak miedzi czy nafty. Mógłby wydawać też rozporządzenia, żeby państwu napadniętemu pozwolić na sprowadzenie z Ameryki tych surowców i wyrobów, których nie mogłoby w Ameryce nabyć państwo napastnicze. Nie wiemy w tej chwili, jak brzmieć będzie nowa ustawa o neutralności amerykańskiej, ale wiemy, że Roosevelt jest wrogiem faszyzmu, hitleryzmu, komunizmu rosyjskiego i nacjonalizmu japońskiego.

Roosevelt potępia „wodzów” narodów i narody rządzone przez „wodzów”

Roosevelt oświadczył się otwarcie za pokojem w całym świecie. Powiedział on, że 90% ludności na świecie pragnie pokoju, 10 do 15% ludności pragnie wojny. Wojny pragną narody, rządzone przez ludzi samowładnych. Narody te nie mogą zwać odpowiedzialności za przyszłą lub toczącą się wojnę na samowładców, gdyż idą z nimi i pochwalają ich politykę wojowniczą i zaborczą. Roosevelt nie wymienił narodów, żadnych wojen i napaści na drobne państwa. Ale wszyscy się domyślają, o kogo tu chodzi.

Sprzeczne zdania

Zdania o polityce Roosevelta po tej jego mowie brzmią rozmaicie: jedni politycy utrzymują, że Ameryka trzymać się będzie zdala od wojen europejskich, afrykańskich, czy azjatyckich, inni zaś zwracają uwagę, że mowa Roosevelta przypomina mowę Wilsona, wygłoszoną przez tegoż przed wojną Niemiec z Ameryką. Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że Amerykanie nie

chcą się wtrącać do zatargów, zwłaszcza europejskich i afrykańskich. Ale czy w razie nowej wielkiej wojny zdołają utrzymać się w obojętności? Roosevelt zapewne w tę neutralność nie wierzy, bo zażądał od sejmu uchwalenia nowych kredytów na armię, flotę i lotnictwo: samych samolotów ma być zbudowanych 900 sztuk w ciągu roku.

Karanie buntowników

Na froncie afrykańskim toczą się potyczki. Znamienne, że od grudnia wzrosła znacznie liczba rannych i zabitych Włochów. Czem się to tłumaczy? Widocznie Włosi niezbyt dowierzają swoim czarnym żołnierzom i usuwają ich z pierwszych linii. Obiegła też pogłoska, że zdrajca abisyński książę Guksa został przez Włochów rozstrzelany. Włosi temu zaprzeczyli, przyznając jednocześnie, że buntowników musieli ukarać. Ci buntownicy to musieli być Abisyńczycy, którzy szczerze lub nieszczerze przeszli na stronę włoską, a potem się spostrzegli, że źle zrobili, i zwrócili się przeciwko Włochom. Włosi sprowadzają posiłki z Europy, gdyż podobno na północy wojska negusa przewyższają armię włoską o 300 tysięcy żołnierzy. Na froncie północnym zaczęła się już mała pora deszczowa, co tem bardziej utrudnia działania wojenne. Abisyńczycy zajęci są zbiorami: będą mieli trzecie żniwo w ciągu roku!

Zatarg Włoch ze Szwecją

Na froncie południowym zdarzył się wypadek, który poruszył Europę. Oto w odwecie za ucięcie głowy lotnikowi włoskiemu przez Abisyńczyków, samoloty włoskie bombardowały nie tylko stanowiska wojenne, ale przenośne szpitale i zabiły 1 Szweda lekarza, a drugiego zraniły ciężko. Włosi przeczą, by zniszczony został bombami szpital polowy, darowany Abisyńczykom przez Egipcjan. Szwecja dwukrotnie protestowała przeciw bombardowaniu szpitala. Rząd włoski wyraził Szwecji ubolewanie. Oczywiście Włosi twierdzą, że wszystkiemu są winni „okrutni” Abisyńczycy, ale iluż to cywilów, od dzieci począwszy, zginęło w szpitalach abisyńskich pod bombami lotników włoskich?

Patron żołnierzy (Dokończenie ze strony 36)

pujący ani na krok z raz zajętego posterunku, czyż ten polski katolicki bohater nieraz nie wczuwał się w położenie swego patrona i opiekuna dzielnego oficera, św. Sebastjana? Ach jak bliski i jak podobny do niego był w takiej chwili żołnierz polski!

Dzisiaj między Tobą, święty opiekunie i męczenniku, a nami, Twymi słabymi wynawcami, jak wielki odstęp i jak wielka różnica!

W jednym z kresowych miasteczek w posiadaniu żydów znajdują się ruiny starożytnego pałacu książąt Sapiehów, nadającego się na klasztor zakonu kontemplacyjnego. Po informację za załączeniem znaczka do Redakcji „Przewodnika Katolickiego”.

Odpowiedzi Redakcji

P. Gro... Nie ma Pan słuszności! Te nowelki były przecież już dawno w Przewodniku. W roku 1935 Rola K. wydrukowała o Wojtku i Walkowej, Przewodnik drukował to już w 30-ym numerze 1931 r. i w 3-im numerze 1932 r. — Michał z Pleszewa. Idzie o dobrą sprawę. Dlaczego więc pisze Pan pod maską? Firma ta nie jest przedsiębiorstwem żydowskim; opiera się co prawda na kapitałach holendersko-angielskich.

Wzbudź w nas ducha Twego!

Spraw, byśmy żyjąc jak Ty wśród brudu i zepsucia jednak nieknięci i niezbrudzeni szli przez życie.

Spraw, gdziekolwiek jesteśmy, czy na stanowisku wojewody czy woźnego, oficera czy szeregowca, kapłana czy laika, byśmy tak jak Ty zawsze mieli mocy dosyć, by dać świadectwo tej prawdzie, dla której żyjemy i dla której umierać pragniemy!

Do naszych abonentów pocztowych!

W czasie od 20. b. m. do 10. II 1936 r.

przyjmują listowi zlecenia na abonament pocztowy na miesiąc luty.

Prosimy spiesznie zgłosić się do listonosza, który za kwitem pocztowym zainkasuje prenumeratę złotych 0.80 na miesiąc.

Pod opaską z Administracji miesięcznie tylko 0,80 zł, kwartalnie tylko 2,40 zł.

Bez znaczka — bez odpowiedzi!

Spraw, byśmy nie milczeli tchórzliwie tam, gdzie mówić trzeba, i nie cofali lub lękali się trwożliwie o zdrowie, pieniądź, stanowisko czy życie, gdy Chrystus zażąda ofiary. — Na wszystkie wiatry rozwiane są prochy przesładowcy Dioklecjana! Imię zaś Sebastjana żyje i żyć będzie w sercach tysięcy, a grób w świątyni św. Sebastjana w Rzymie należy do najświętszych na świecie.

Źródła: Ender, Sauerland, Szmoeget. f. f.

Adoracje N. S.

19. Wąwelnio i Wiry. 20. Wierzechucin król i Boruszyn. 21. Brudnia i Cerekwica p. Szamotuły. 22. Chlewiska i Chojnica. 23. Gniewkowo i Kaźmierz. 24. Góra p. Inowrocław i Kiekrz. 25. Grabie i Ludomy.

Intencje Apostolstwa Modlitwy na miesiąc styczeń

Ogólna: Aby wszyscy wysoko sobie cenili dar Wiary.
Misyjna: Za nawrócenie luteran.



(Obok:)

Ks. Nuncjusz Marmaggi otrzymuje biret kardynalski. Pan Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej nakłada, wśród uroczystego ceremoniału, biret kardynalski świeżo mianowanemu Kardynałowi, Nuncjuszowi Stolicy Apostolskiej Marmaggiemu. (Pikiel)

(Poniżej na lewo:)

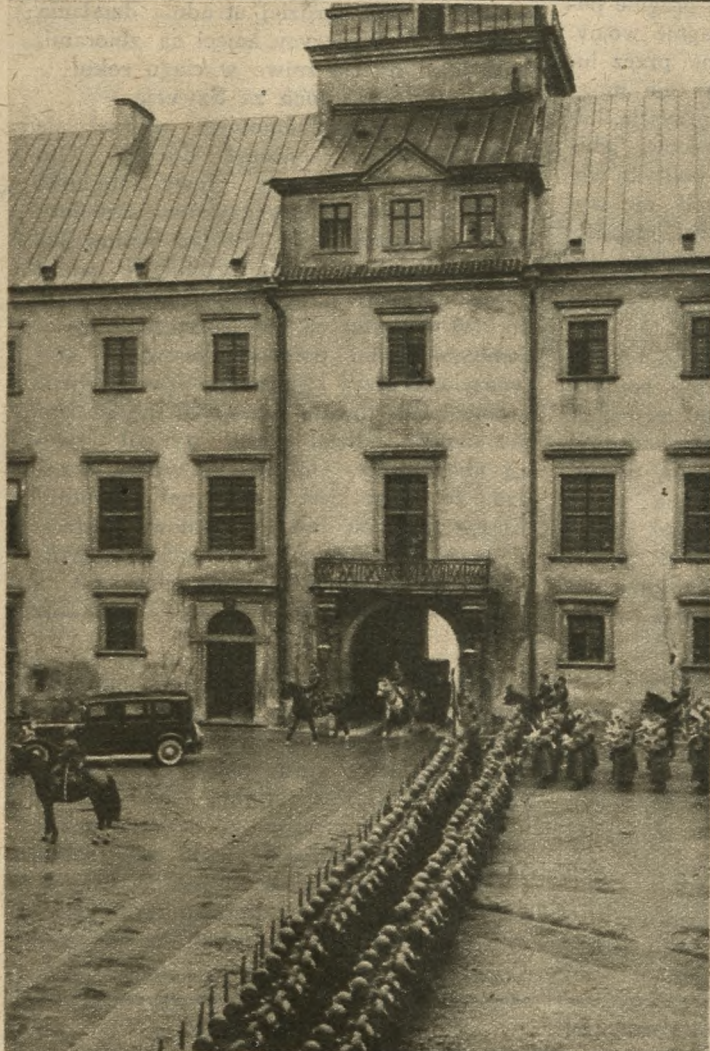
Nuncjusz Marmaggi wjeżdża na dziedziniec zamkowy. W tej chwili oddaje Mu honory wojskowe 30 pułk piechoty, prezentując broń. (Pikiel)

(Poniżej na prawo:)

W sali marmurowej, w Zamku warszawskim, po skończonej audjencji, zasiadli Pan Prezydent Rzeczypospolitej i Ks. Kardynał Marmaggi. Po prawej ręce Ks. Kardynała Marmaggiego widzimy Ks. Prymasa. Dalej siedzą p. Premier Kościłkowski, gen. Rydz-Śmigły, Ks. Kardynał Kakowski i marszałek Prystor. (Pikiel)

(U dołu na prawo:)

Zapał wojenny ogarnia coraz szersze warstwy społeczeństwa włoskiego. We mszy polowej, która odbyła się dla wojsk włoskich w Abisynji, brał udział najmniejszy chyba żołnierz w łoski, faszysta-ochotnik. (Presse-Photo)



„PRZEWODNIK KATOLICKI” ILUSTROWANY TYGODNIK DLA RODZIN KATOLICKICH

z bezpłatnym dodatkiem dla dzieci „MAŁY PRZEWODNIK” oraz z osobnymi działami „ROLA I OGRÓD” i „SPRAWY KOBIECE”.

Przedpłata kwartalna wynosić będzie z dniem 1. I. 1936 za egzemplarze osobicie odbierane w ekspedycji naszego pisma i agencjach poznańskich 1.70 zł. Za egz. wysyłane wprost z Administracji w opasce pod adresem imiennym, w ilościach od 1 do 9 egz. po 2.40 zł, od 10 do 59 egz. po 2.20 zł, od 60 egz. wzwyż po 1.90 zł za egz. — Dla abonentów pocztowych (bez opaski) przedpłata kwartalna wynosi tak jak dotąd 2.34 zł, miesięczna 78 groszy, dwumiesięczna 1.56 zł łącznie z kosztami manipulacyjnymi.

Pocztowe konto czekowe: Poznań P. K. O. nr. 206 084 „Przewodnik Katolicki”.

W sprawach dotyczących rękopisów i w sprawach redakcyjnych prosimy zwracać się wyłącznie do Redakcji, w sprawach odnoszących się do przedpłaty, ekspedycji, pokrycia należności oraz ogłoszeń — wyłącznie do Administracji „Przewodnika Katolickiego” w Poznaniu, Al. Marcinkowskiego 22, nie zaś pod osobistym adresem X. Redaktora.

Redaktor odpowiedzialny: X. Franciszek Forecki w Poznaniu. — Za reklamy odpowiedzialny: Ignacy Domański w Poznaniu.

W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajków i t. p. wydawnictwo nie odpowiada za regularne dostarczanie pisma i abonenci nie mają prawa domagać się niedostarczonej numerów lub odszkodowania. Nakładem i czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha Sp. z o. o. w Poznaniu — na papierze z własnej fabryki papieru „Malta”.

Telefony 26 78, 22 41, 36 13, 36 14, 31 27.